



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
 We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
 po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
 kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
 Ekspedycyca główna w księgarni wydawcy
 Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
 kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
 wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
 W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
 sgr. 20.

FELIKS ANTONI DUPANLOUP

(Biskup Orleański).

Dnia 11 Października bieżącego roku zmarł w Lancey w Sabaudyi, ks. Feliks Antoni Dupanloup, wysoki dostojnik kościoła francuzkiego, mąż niepospolitej nauki, a razem umysł czynny, natura pracowita i energiczna—człowiek uczciwy i dobry syn ojczyzny swojej. Urodzony w 1802 r. w Saint-Felix w Sabaudyi, należącej wtedy do Francyi, nie odpadł od niej sercem, gdy wśród przewrotów politycznych, rodzinny jego kraik wszedł w skład królestwa Sardyńskiego, natura bowiem była wyższą i szerszą nad uczucie prowincjonalizmu lub przywiązanie do dynastyi Carignan i ciążyła do wielkiej całości narodowej, wytworzonej na podstawie idealnych związków ducha, wyrażającego się przez jeden z wielkich swych objawów i czynników, przez język. Ksiądz Dupanloup czuł się Francuzem, a gdy okoliczności stawały temu na przeszkodzie, przeszedł przez urzędową formę naturalizacyi, i odtąd przedstawia się jako jedna z wybitniejszych postaci swego społeczeństwa. Obok kapłańskiego zawodu jest on kolejno: profesorem uniwersytetu, akademikiem, posłem i senatorem; jest pisarzem moralistą i mówcą politycznym—człowiekiem pracy niezamordowanej, zawsze w kierunku szlachetnym pojęć liberalnych i postępowych, pojętych na podstawie religijnej i idealnej. Usposobienie przedewszystkiem czynne, popchnęło go przy sprawowaniu kapłańskiego urzędu do zajęcia się wychowaniem, nauczaniem, i to w następstwie rzeczy dało mu pióro do ręki. Piśme ogromne, bo z sześciu części złożone dzieło: *De l'éducation*, za które zostaje akademikiem, co jest

najwyższą naukową godnością we Francyi, jakkolwiek możnaby prawie powiedzieć, że tworzył je więcej obywatel, niż człowiek naukowy. W zmieniających się rysach oblicza Francyi, widzi on upadek dawnej jej wielkości, przeczuwa go jak niegdyś Skarga, ale rzuca jej coś więcej niżeli jęk prorocki Jeremiaszowych; szuka w koło siebie środka ratunku i chwytą ten, który uważa za najskuteczniejszy, najdoskanalej wiodący do celu. „Czego potrzeba, aby kształcić, umocowywać, odradzać narody?“ pyta na pierwszych kartach książki swojej. — „Narodowi potrzeba przedewszystkiem ludzi. Przez ludzi tylko, przez ludzi jedynie, państwa się wznoszą, dochodzą do potęgi, utrzymują się przy niej z siłą, która się nigdy nie starzeje, bo jest wciąż odżywiana. Słabnące, stracone ze szczytu wielkości dawnej, to te, którym zabrakło ludzi.“

A Francya czyż ich ma? Wśród wstrząśnień które ją wzruszają, oczom zatroskanego myśliciela przedstawia się zjawisko zadziwiające: — „Nigdy — pisze — Francya nie była tak zaludnioną, nigdy ludność jej nie była czynniejszą, a nawet nie była nigdy tak mocno ruchliwą. Ekonomisci lękają się tego ciągłego przyrostu ludności; ślepa Fortuna ma w koło siebie tłamy; wszystkie zawody życia społecznego zapchane. Ludzie się cisną, potracają zawadzają o siebie i przeszkadzają sobie nawzajem, a przecież słychać zewsząd: — Nie mamy ludzi! Zkąd wziąć ludzi? Ogólny to krzyk, skarga ogólna! W jasne południe szukał niegdyś Diogenes człowieka z latarnią w rękę, i my jesteśmy mu podobni!

„Cóż to znaczy przecie? Tajemnicę tę warto jest zbadać, warto jest zagłębić się w nią ciekawie, bo widocznie ludzie poszukiwani, jakich nam trzeba, to nie ci, których mnogosc taka cisnie się do Fortuny, nie ci, których widzimy gorączkujących się w ruchu ustawicznym.“

„Ludzi niewątpliwie zsyła Bóg, ale — Bóg tak chce — wyrabia ich wychowanie. Aby wielkość, moralna i intelektualna pomysłność narodu podnio-

śły się, trzeba na to działania ludzi wyrobionych, skończonych, ludzi wychowanych dobrze.“

On w to wierzy i powtarzając głębokie zdanie Leibniza: — „Zawszem to myślał, że przetrwałyby się ludzkość, gdyby przetrworzono wychowanie młodzieży“... daje krajowi swemu dzieło, które psycholog studyjący w pisarzu człowieka, musi zaliczyć mu przedewszystkiem na dział zasługi obywatelskiej. Prąd gorący, który nazwałby można prądem obywatelskości, przebiega je od początku do końca, i nie pedagog to tylko wybuch niemal oburzeniem na myśl, że ktoś może mu zaprzeczyć poczucia najwyższej w wychowaniu potrzeby dlatego, że jest księdzem. — „Nikt więcej odemnie nie żąda, aby wychowanie, będąc narodem, wszczepiało w młodzież poświęcone uczucie szlachetnego patriotyzmu! Nikt więcej odemnie nie przywiązuje do tego wagi! Dlatego mianowicie państwo powinno być w najwyższym stopniu zainteresowane dobrem wychowaniem młodych pokoleń, że siła jego, w którą wierzę mocno, stanowi o przyszłości kraju.“ (*Vol. I, Livre V*).

W dziewiątej edycyi swego dzieła, która wyszła w 1872 r., więc zaraz po nieszczęśliwej dla Francyi wojnie, zaraz po okrutnym Francyi upadku, napisał w przedmowie: — „Są czasy, w których ręce ludzi opadają z trwogi i przygniecenia, a dusze najmocniejsze, uderzone widokiem nieszczęść publicznych i prywatnych, zaledwie są zdolne obronić się rozpaczą. Ale jest głos wołający wskroś wieków wszystkich, że nie należy nigdy wątpić o rodzaju ludzkim, nie należy nigdy wątpić o jego przyszłości, bo ludzkość wciąż się odnawia, a dzień każdy przynosi jej coś z odnowienia tego“. Krzepi się też i on owem uczuciem wiary w przyszłość i dla Francyi, której codzień rodzą się obywatele nowi; ale nie jest to uczucie uspokojenia biernego. Jak w czasie najścia wojsk pruskich na Orlean (Październik 1870 r.), wzywał ludność do obrony, a potem zasłaniał ją osobą własną, stał przy łożku rannych, których jak ojciec zgarniający

dzieci do domu swego, mieścił w pałacu biskupim; tak potem rozwija, szczególnie w kierunku wychowania publicznego, gorącą działalność obywatelską, jest echem głosu „który woła wskroś wieków“: — „Dieu a fait les nations guérissables“! pisze ze Salomonem, dodając: — „Mocne wychowanie pokoleń rodzących się, może wszystko podnieść, wszystko ocalić“!

To uczucie miłości Francji, nigdy w nim nie gasnące, tłumaczy zjawisko wyjątkowe w tej Francji właśnie, a to, że wszystkie różnice przekonań, wszystkie różnice stronnictw usunęły się na bok, aby przy trumnie zmarłego złożyć mu hołd czci ogólnej. Krocie ludzi towarzyszyły mu do mogiły, Akademia Francuska przysłała reprezentantów swoich, a *Journal des Debats* mimo niegdyś sprzecznego z nim stanowiska politycznego, napisał: — „Głęboka próżnia, jaką wytworzyła śmierć biskupa Orleańskiego, nie da się łatwo zapełnić.“ Maluje to przecież głównie człowieka, rozjaśnia dla jego historia genezys jego twórczości literackiej, genezys jej cech i charakteru; ten przecież, kto chce sądzić go jako pisarza, według bezwzględnych zalet dzieł jego, musi sąd ten wydawać z pominięciem tych wszystkich okoliczności, z pominięciem kto i kiedy je pisał, biorąc głównie na uwagę tę wartość ich trwałą, która ma im wyznaczyć miejsce między pracami pedagogów i moralistów francuskich. Oto najważniejsze z nich: *De l'éducation*, niebędąc takim dziełem pomnikowym, jak *Emil* Jana Jakóba Rousseau, gdzie mimo wielkich i ciężkich błędów genialne rzuty myśli ciskają nowe światło na wychowanie i nowe wyznaczają mu tory; nie trzymane w takim tonie jak wtedy, gdy nauka o wychowaniu jest, na podobieństwo *Chowanny* Trentowskiego, odłamem jakiegoś systemu filozoficznego, — jest to z praktycznością, z jasnością, która odznacza ogólnie ducha francuskich pisarzy, na gruncie silnej religijności popularnie napisane dzieło, tak niepospolitych jako takie zalet, tak rozumne, ze znajomością rzeczy skreślone i wyczerpujące swój przedmiot, że pedagog jakichbądź przekonań może w niem szukać wskazówek i cenić je musi, jako dzieło wielkiego pożytku i wyższego znaczenia. Są w niem silne przekonania, ale nie zaciętnia go nigdzie stronniczość, nie wieje zeń duch średniowieczny: jest w niem szlachetne pojęcie ludzkości, wiara, można powiedzieć, nowoczesna we wrodzoną ludzkości tej zacość, jak tego dowodzi zasada wyrażona przez „szacunek, do którego obowiązują: godność natury dziecka, wolność natury dziecka, wolność jego inteligencji, wolność jego woli, wolność jego powołania. (Vol. I—Livre II—Chap. III—Liv. IV—Chap. I—III).

Prawa rodziny, prawa najwyższe rodziców do dziecka są również postawione bardzo wysoko, i człowiek uczciwy tak ich nie pozwala konfiskować na korzyść żadnej propagandy, jak cenę wpływu i oddziaływanie ogniska domowego na serce — na ducha dziecko. Znaczenie wychowania stawia wyżej od naukowości; przecież dla chłopców przenosi kształcenie publiczne nad domowe, dowodząc, że jest tam widnokrąg i pełność dnia, pełność powietrza, coś mocniejszego, szerszego, silniej ożywionego i silniej żyjącego, jaśniej rozświeconego, niż pokój szkolny, w który uczeń pozostaje sam na sam z nauczycielem i wykazuje, że najuboższy chłopiec w szkołach publicznych jest przedmiotem wyższej staranności, która wynika ze współdziałania nauczycieli, stanowiących szkołę, niż syn choćby królewski w domu wychowany. Lęka się on w tem wychowaniu domowym „małości“, to jest lęka się drobnych wpływów konwencyonalności i elegancji tam, gdzie potrzeba oddziaływać silnych i podnoszących. Żąda przecież od rodziców, od ojca i od matki, aby nie opuszczali wtedy dziecka, nie rozdzielali się z synem swoim w tej edukacji publicznej nawet już stopnia drugiego i pisze: „Les parens doivent toujours y présider“.

W razie edukacji domowej przekłada guwernera cywilnego nad księdza, wykazując, że ksiądz dobry, prawdziwy sługa Boży, ma obowiązki inne: oddany być powinien niejednej duszy, ale wielu, nie jednostce, ale ogółowi. Nieograniczając się pewnym kołem ludzi i pojęć, przybiera do swoich poglądów na wychowanie wszystkie dobre poglądy ludzi rozumnych i uczciwych. Filozofia Platona jest bardzo często jego filozofią; opiera się tak

na zdaniach filozofów pogańskich, jak na zdaniu Guizota, protestanta. Jak walczył z Veulotem o klasycznych pisarzy starożytnych, tak między środki rozwijające umysł dziecka zalicza nauki przyrodnicze i nie wyłącza, nie wyklucza nic, co daje umysłowi światło, co uskrzydla wyobraźnię, rozwija wyższe zdolności dziecka. Ujmuje się też dla dziecka za fantastyczną bajką, za poezją, za wszelkim kierunkiem myśli, który byłby podniosłym i szerokiego toru, a zagradza tylko drogę niereligijności, przeczeniu Boga — filozofii materialistycznej. Pobożność, jakiej szczerzenia wymaga, to szlachetna, piękna, wysoka i prawdziwa pobożność, co razem określa wyrazami Fenelona: „Nie szczególności affektowanych, nie grymasów — ale pobożności prostej, zwróconej całkowicie do obowiązków naszych a przejętej mężstwem i spokojem, jakim nas darzy czyste sumienie i prawdziwy związek ducha ludzkiego z Bogiem“.

(Dokończenie nastąpi).

ŚWIATEŁKA W CIEMNYM KRAJU

Nowella

przez

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

— Kto-by się był po nim tego spodziewał?! Wszakżeż to bogacz. — Odezwał się najmłodszy obywatel. — Nie potrzebował hańbić całego powiatu. Czy nie wstyd dla nas wszystkich, że najstarszy obywatel Gulu oddawał się takiemu rzemiosłu? Teraz wezmą go, powieszają....

— Tem lepiej! — zawołał ktoś.

— Tem gorzej! — przeczył inny. — Mało nas zostaje sąsiadów, a ile razy zniknie jeden, chociażby hultaj, przykro się robi człowiekowi. Nawet kłody naszych starych chat pozrastały się mchem i pleśnią — cóż dopiero serca?

— Prawda, prawda! — mruknął piąty głos. — O jego brzydkim nałogu nikt nie wiedział, a był to dobry sąsiad. Człowiek mógł znaleźć kompanię wesolą, póki jego drzwi stały otworem. Jeżeli ich zabiorą a dom spalą, Gulf opustoszeje doszczętnie.

— Kto-by był przewidział to wszystko, jeszcze wczoraj, gdy stary Bell obiecywał nam pożyczkę, aby spróbować szczęścia w nowym szybie, którego Busel nie chce już dalej świdrować, i tylko do końca miesiąca jeszcze go zatrzymuje....

Przypomnienie powyższe wyszło z ust najmłodszego górnika, a przerwał je rybak, człek w wieku podeszłym. Obejrawszy się kilka razy, zniżył on głos i szepnął kolegom, którzy instynktownie zbliżyli się do niego:

— Jednakże, jednakże, nie w tem dziwnego.

— Co?! — zawołali wszyscy.

— Podejrzałem to dawno. Wy młodszy ode mnie, i żaden z was nie pamięta pierwszych dni w Gulfie. Przyszliście tu na ostatek, i dlatego tu siedzicie. Kto tu był z początku, a miał rozum, nie był tak głupi jak ja: poszedł w świat z pełnym trzosem, jeżeli nie przepadł w szybie, albo nie zginął marnie w inny sposób. Lepiej ja od was pamiętam, jak tu niegdyś bywało, chociaż nigdy nie zapuszczałem się pod ziemię, ale pilnowałem wody. Kiedy przyszedłem pierwszy raz do miasta z rybami, wszystko, co wam teraz powiem, stało się właśnie; narazie zapomniano o tem prędko. Któż mógł w owych czasach pamiętać, choćby to, co się stało wczoraj?! Gdyby nawet ziemia się trzęsła, zapomniałiby o tem nazajutrz, przy ciągłym hamir-drze i odkrywaniu złota. Ludzie mieli też powód, aby nie mówić o tych rzeczach, bo zauważyli, że kto nie umiał trzymać języka za zębami, ten zawsze doczekał się psoty, lub czegoś gorszego. Stary Bell nosił wtedy imionisko *Upiora Gulu*.

— Upiora?

— Upiora! I nie nosił go darmo, pamiętajcie.

— Dlaczegoż go tak przeważali?

— Ha, jeżeli prawda, co mówił Murzyn, posłany po doktora, mogę powiedzieć dlaczego, bo stary Bell podobno nigdy nie wstanie i nie zajrzy mi w oczy. Rzecz się tak miała: — W pierwszych latach Gulu, kiedy ludzie przychodzili tu Bóg wie skąd i jakie mi drogami, a wracali z pełnymi trzosem łada którądy; gdy nie było drogi, ani policyi, a sędzia-lynch trzymał jakitaki porządek w kopalniach, — spostrzegł ktoś, że nikt z tych, co zabłądzili w kierunku stacyi Bella, nie pisał nigdy do znajomych. Długo nie zwracano na to uwagi, ale raz znalazły się jakieś poszlaki, zbudziły się podejrzenia; komitet bezpieczeństwa pojmał Bella, i byłoby źle z nim, gdyby nie jego przyjaciele. Szanowny pan Langton, członek parlamentu, — Gulf wybierał wtedy własnego posła — podjął się obrony i tak przedstawił sprawę, że puszczonego Bella dla braku dowodów.

— A, a, Edward Langton! Gdzie też on się obraca teraz?

— Nikt nie słyszał o nim od kopy lat. Znudziło mu się tutaj, znudziło i w Sydney, a pewnie znudziło i w Europie, dokąd się wybrał, napchawszy sobie kieszeń w Gulfie. Nie widziałem go nigdy. Mówiono mi, że należał do rzędu ludzi wiecznie niezadowolonych. Zawsze narzekał, że ludzie nie szanują go, jak na to zasługuje, choć nie był pełnoletnim, kiedy go wybrano do izby, i trudności mu robiono z tego powodu — zgoła, człek niestateczny. Zaczął dobrze, tylko nie umiał doczekać się dobrego końca.... szafawiła....

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się za mówiącym nowy przybysz, na którego obróciły się wszystkie oczy. — Człek sławny ze stateczności, ma najlepsze prawo ganić cudzą niestałość, a któż jest tu stateczniejszym od Rekina?

Śmiech tego człowieka miał dźwięk osobliwy, drewniany, i przypominał klekot szarego ptaka, którego głos tak jest podobnym do parskania ludzkiego i wrzasku osła, że go Australczycy nazwali „osłem latającym“. Już sam ton śmiechu mógł zadziwić słuchaczy, chociażby zjawienie się Rozbitka nie było tego uczyniło. Rozbitek — tak nazywano górnika uratowanego z *Dunbaru* (i nie znano go pod innym imieniem, albowiem, wzywajem górników australskich, wszyscy tubylcy mieli imioniska i niechętnie używali nazwisk) pod cedrem! na gminnej radzie! była to nowość niepospolita. Nawet Rekin — ów rybak, którego stateczności słusznie przyganiał mówiący, albowiem cały świat wiedział, że stary Rekin nie mógł wytrzymać z srebrną monetą w kieszeni, żeby się nie upił — nawet Rekin zapomniał o uszczypliwości kryjącej się w słowach Rozbitka i otworzył szeroko oczy, na widok niezwykłego gościa.

Ten gość wyszedł był niedawno ze swej chaty, a sądząc z przyborów, szedł do roboty. Pod pachą trzymał szeroką, płytką miskę blaszaną, w której znajdowała się niejedna dziurka zatkana szmatą — znak pewny, że miska należała do uboższego górnika. Oprócz narzędzia do płukania złota, niósł motykę, z długim, sierpowatym grotem z jednej strony a łotkiem z drugiej. Trzymał ją na ramieniu, jak żołnierze noszą karabin; żelazna, krótka łopataka wisiała na motyce, za jego plecami. Ubiorem nie różnił się od kolegów, ale był staranniej oprany, umyty i uczesany. W jego ruchach przebijały się resztki jakiejś maniery, niewłaściwej mieszkańcowi Gulu.

— Hm! — prawil, nietroszcząc się o zadziwienie ogólne i opierając swe narzędzia o drzewo. — Jak łatwo odsądzać innych od czci i wiary! Przecież cały powiat, ha, cały kraj powtarzał nazwisko szanowne pana Edwarda Langtona, niedawniej, niż dziesięć lat temu. Był to fe-no-me-nal-ny młodzieniec — tu mówca zakreślił wielkie koło ramieniem, przybrał pozę, jakby stał na trybunie, i wetknął palec w dziurę swego kaftana, gdzie zwykle znajdują się guziki u kamizelki. — Powiadam wam, że to był fe-no-me-nal-ny umysł. W pierwszym roku swych spekulacji w Gulfie dokupił się najlepszemu szybu i najlepszemu młynowi, choć zaczął od niczego. *Gwiazda* i *Herold Gulu*, wszystkie gazety wydawane w kopalni, drukowały jego mowy *in extenso*. Nawet w stolicy....

— In... in... — przerwał Rekin.

— *In extenso*... dosłownie! Ach, prawda, że niewarto miotać perel... dość, że szanowny pan Lang-

ton, członek parlamentu, właściciel młyna Eldorado i t. d. był szalawią.

— Zkądże waś wiesz to wszystko?—pytał Rekin, który posiadał wrodzony geniusz do argumentów, a wietrząc rozprawę z godnym siebie przeciwnikiem, zapłonął z radości.

— Zkąd? Byłem wtedy... hm... mieszkałem w Sydney; słyszałem o nim, widywałem go. Każdy *gentleman* znał wtedy szanownego pana Langtona. Gdyby nie zazdrość, podła, nikiemna zazdrość, byłiby go zrobili ministrem kopalni i robót publicznych, kiedy szanowny Jan Robertson formował drugą swoją administrację. Ominęli go: więc złożył mandat, wyprzedził się i wyjechał do Europy, gdzie dla wyższych zdolności szerokie otwiera się pole.

— Kiedyś taki mądry, powiedz-że, co się z nim stało w tej Europie?—pytał Rekin.

— Hm... jego europejska karyera obchodzi tylko Europejczyków; niema ona nic wspólnego z australskimi obdartusami—odparł zagadnięty.

— Nie osobiwa pewno karyera! Choć ja nie bywalec, rozum chłopski uczy, że takich Langtonów muszą liczyć na kopy w starym świecie. Jeżeli on się tam brał do wszystkiego jak u nas, szturmem, a nie mógł doczekać końca jednej sprawy, nim w drugą wetknął nos, pewnie go dawno dyabli wzięli. Pamiętam, że w Europie jak na drabinie: szczebel po szczeblu; a kto się bardzo śpieszy, ten albo spadnie, albo go stracą.

Miny słuchaczy świadczyły, że w ich przekonaniu wyszczekany Rekin miał słuszną rację. Jego przeciwnik sam to przyznał, bo się zniecierpliwiał i zawołał:

— Któżby mówił dłużej o takim człowieku jak Langton w takim miejscu i kompanii? Poradzi on sobie wszędzie, umie sobie dobierać ludzi i do serc ich trafiać.

— O, tak, tak! Pamiętam, że już za młodu lubił wesółych koleżków... łykał...

— Ale nigdy nie łykał na kredyt i nie zebrał o trunek.

Ponieważ Rekin był pijaczyną i pił na kredyt u Busela, ów argument *ad hominem* byłby niezawodnie wywołał bójkę i przypominał dobre czasy Gulu, kiedy-to mordowano się codziennie pod temsamym drzewem cedrowym, pięściami i szpikulcami. Okoliczności sprzyjały w tej chwili awanturze, gdy nagle inny wypadek zwrócił na siebie całą uwagę Rekina.

Zacny ten marynarz spojrzawszy przypadkiem na zatokę, właśnie gdy przeciwnik zabierał się do obelżywej odpowiedzi. Prawie jednocześnie ze wzmianką o pijaku zawołał Rekin:

— Czy nie mówiłem? Widzicie, że nie puszcza płazem nocnej awantury. Łodzie płyną po niego.

Te słowa odnosiły się do ruchu na pokładzie parowca, który zatrzymał się i leżał na spokojnej toni, obracając swój długi burt do górników. Jego kominy wciąż przedły cieniutki obłoczek dymu, gdyż pomimo błękitnego nieba i szklanego morza, ostrożny szypier nie mógł zostawić okrętu na los wiatru i możliwość nagłej zmiany w pogodzie, dopóki bawił w strasznej zatoce. Sruba okrętu obracała się jednak z taką powolnością, że zdawało się, iż pływający gmach nie posiada innego ruchu oprócz bujania się z regularnością wahadła. Z amfiteatralnych pagórków Gulu można było policzyć majtków na pokładzie, stalowe paszczęki dział w wylotach, kroki wart w ponsowych mundurach, co chodziły na rufie i sztabie, grupę oficerów na moście pomiędzy kominami. Był to piękny obrazek, a jego tło tworzył przylądek wspomniany przez nas tylokrotnie, wyniosły, wyrastający w wielu miejscach pionowo z morza, nawet w pogodę płukany u stóp szumiącą falą i leżący na prostej linii, co przecinała Gulf i parowiec. Błyszczek i kwarc w jego granitowych opokach świeciły w porannem słońcu nakształt złota i srebra, a sól morską, mech i rośliny lgnące do skał mieniły się najrozmaitszemi barwami. Na takim fundamencie spoczywały buchaste, zielone pagórki, na których blisko morza drzewa nie rosły. Gdzieś u końca łysych pagórków, a na granicy boru, tuliła się stacya, niewidzialna z Gulu. Za nią, na stokach coraz wyższych, wznoszących się amfiteatralnie aż do gór niebotycznych, rósł bór, posępny jak wszystkie lasy australskie, z pni brązowych i popielatych złożony, a ukoronowany jakąś szarawą,

żałobną zielenią. Pagórki i las wyglądały lepiej w zimowej dobie, niż kiedykolwiek: więc krajobraz przy przylądku posiadał wdzięk pewien. Nie było na nim znaku życia; jego ciszę i wyludnienie trudno pogodzić było z tem, że niegdyś gnieździły się tutaj upiory zatoki Twofoldzkiej: owszem, można było mniemać, że człowiek nigdy tam nie zajął.

Na okręcie panował, przeciwnie, ruch niezwykły. Jego załoga zajmowała się spuszczeniem łodzi. Trzy punkceiki oddzieliły się od burtów. Dwa zmierzając poczęły do górników, trzeci dążył w przeciwnym kierunku, szybko malejąc. Tamte zwiększały się co chwila: dostrzegano już ośm długich wiosel u każdej łodzi; ich ruch i kształt czółen przypominały pajaka, muskającego ton w szybkim biegu. Wioslarze zachowywali cudny takt, godny wojennych żeglarzy. Co dwie sekundy, mniej więcej, pryskała woda spod ich kling i zwieszała się z wiosel w morze jak sznur pereł. Granatowe bluzy, białe kapelusze z szerokimi krepami, błękitne kołnierze od koszul, spadające na ramiona wioslarzy, czarne wstęgi wkoło ich kapeluszy, pokazywały się po sobie kolejno. Widzowie na pagórku poznawali już oficerów, siedzących u steru, na ławach wysłanych banderą. Niebawem dobiły łodzie do płytkiej wody; kilku majtków wyskoczyło z nich i wciągnęło je bliżej brzegu, załogi wyszły na piasek i wyciągnęły swe barki na ląd, poczem uszykowały się pozołniersku. Zostawiwszy wartę przy łodziach, weszły prędko do wioski—jeżeli zaś służywała na te miano zbieranina szafasów i chat, składających Gulf.

Ton oficera kommanderującego nie był na razie przyjacielskim. Badał on zebranych górników z żeglarską szorstkością i węzłowością. Wnet przekonał się jednak ze szczerých odpowiedzi, że ci biedni ludzie nie stali w związku z mniemanymi złoczyńcami: owszem, byli oburzeni do najwyższego stopnia i chętnie-by ułatwili ich skarcenie. Wiedzieli przecież bardzo mało. Jeżeli przeciwna strona zatoki była rzeczywiście siedliskiem złoczyńców, jej mieszkańcy znosili się rzadko z górnikami, ci zaś nie interesowali się zgoła światem, chociażby najbliższym, jeżeli on leżał poza obrębem zapadłych szybów i karczmy Busela. Można by sądzić, iż żaden z nich nie puszczał się nigdy na drugą stronę rzeki, której męt płynął w ciasnej dolinie pomiędzy wzgórzami, tak blisko wspomnianej karczmy, że możnaby było rzucić kamień z jej ganku do wody. Była to rzeka australska, wartka i szeroka w tej porze roku. Szpaler rozłożystych, iglastych drzew, zwanych dębami (jak *lucus*, „*a non lucendo*“, bo niczem nie przyminają one europejskiej dębiny, chyba słojami pni świętych), znaczył jej szlak do morza. Wlewała się do zatoki, służąc niejako za granicę pomiędzy porytami, z drzew ogołocionemi, wzgórzami kopalni, a lasem i zielenią, rosnącą na gruntach należących do stacyi. Te grunta obliczały się na mile kwadratowe. Pomimo rozmaitych poszukiwań nie znaleziono kruszców na drugim brzegu rzeki: ztąd zachowywał on swą pasterską i leśną urodę, a Bell dzierżawił grunta za rzeką od rządu za małą cenę.

Oficer nie zaspokoił się przecież pozorami niewinności górników. Odesławszy część swych ludzi do okrętu i urządziwszy rodzaj telegrafu do komunikowania się z kapitanem, zakwaterował się w karczmy Busela i zatrzymał we wsi siłę zbrojną, któraby wystarczyła na poskromienie dziesięciu podobnych osad. Zbierał skrzętnie wszystkie wiadomości o życiu i charakterze właściciela stacyi; badał o szczegóły wypadku, który miał się wydarzyć Bellowy przeszłej nocy. Nowina ta dała powód do wymiany znaków telegraficznych pomiędzy oficerem we wsi i kapitanem okrętu. Pokazało się, iż szypier był uprzedzony o niej, a jeden z chirurgów okrętowych został wyprawiony do stacyi. Popołudniu przybył oczekiwany lekarz z Edenu, obryzany błotem, zmęczony, jak tylko bywają lekarze w owych krajach, gdzie dzień jazdy do chorego należy do ich normalnych obowiązków. Był on tu potrzebniejszym w roli sędziego pokoju niż lekarza. Będąc prawie jedynym przedstawicielem „inteligencji“ w Edenie (portowej mieścinie złożonej z tuzina domów) piastował on wymieniony urząd jako godność honorową; będąc zaś sędzią pokoju, musiał znów wyręczać niejednokrotnie notariusza, oraz in-

nych urzędników, którzy skutkiem rozległości powiatu niezawsze mogli stawić się na zawołanie. Takie łączenie sprzecznych funkcji nie było dziwnem w kraju, gdzie ludzie pracy fizycznej bywają naraz pastuchami, kucharzami, *praczkami* i mierniczymi własnych majątności, a ludzie pracy umysłowej okazują taką samą wielostronność w wyższych zawodach.

Wieczór i noc minęły na gorączkowych rozprawach pomiędzy mieszkańcami wsi, a ciągłych przejażdżkach pomiędzy stacyą i domem Busela. Parobek kupca nie zmrzył oka, przewożąc przez rzekę lekarza, oficerów, posłańców i majtków. Komendant był małowinnym; ale górnicy dowiedzieli się wielu szczegółów o wypadkach na stacyi, z ust jego podwładnych. Bell szedł się ze skały, uciekając przed rontem, który wysłano z okrętu, gdy próbował po swojemu zwabić statek na mielizny. Patrol usiłował odciąć złoczyńców od głębi lądu i wyłapać ich nad brzegiem, co się jednak nie udało. Koledzy uprowadzili Bella, i gdyby nie ów wypadek, wymagający obecności lekarza, nie miałyby dowodu, iż zamożny właściciel stacyi był zarazem głową korsarskiej szajki. Stan jego nie pozostawiał nadziei, aby mógł przeżyć do jutra. Oprócz kilku białych służących i Murzyna nie zastano przy nim nikogo. Wprawdzie znaleziono wiele śladów końskich i ludzkich naokoło stacyi, zostawionych bezwątpienia przez *buszrendżerów*, czyli opryszków, którzy zebrani tu byli przeszłej nocy. Te pułchacz i sowy uleciały atoli, a gdzie i jak ich szukać? Nie miano Murzynów pod ręką, żeby wzdłuż świeżych tropów trafić do ich kryjówek w górach; żaden górnik w Gulfie nie posiadał tego kunsztu, a najbliższe koszary konnej żandarmery leżały bardzo daleko.

Marynarze przetrzęśli dom skwattera, chociaż konający właściciel protestował i wistocie żaden sędzia nie upoważnił ich był do rewizyi. Powołując się na prawo morskie, że kapitan okrętu posiada królewską władzę w podobnych wypadkach, wyłamywali drzwi, czytali papiery, zaglądali do kryjówek, ale nie znaleźli najmniejszej rzeczy, któraby mogła pochodzić z jakiegokolwiek okrętu. Tak zwani sędzy, a prawdopodobnie koledzy, zbrodniarza, nie raczyli odpowiadać na pytania. Nawet Murzyn był wyuczonym do tego stopnia, że nie pozwolił się indagować, a to na mocy australskiej ustawy, iż nie wolno wciągać osoby podejrzaney o zbrodnię w żadne wyznania, któreby mogły się obrócić na jej niekorzyść i dostarczyć przeciw niej dowodów winy. Zgoła, pomimo usilnych starań nie znaleziono nic takiego, coby usprawiedliwiło uwięzienie służących.

III.

Zbrodzień uszedł jeszcze raz sprawiedliwości ludzkiej, co nie nie znaczyło tym razem, gdyż sam wypadek ukarał go należycie. Jego stan i przemyślanie nad tem: jak też rychło skona?—zajmowały mieszkańców Gulu do tego stopnia, że nie zauważyli zmiany w ichym, stroniącym zwykle od ludzi, Rozbitku. Objawiał on gorączkowe wzruszenie—co mu się i przedtem trafiało: albow nie był dziwakiem? Kręcił się wciąż wokoło domu Busela; ale i to ich nie dziwiło—był to jego zwyczaj, usprawiedliwiony licznemi powodami, śmieszniemi niekiedy w ich oczach, gdyż podejrzewali, że strzelał okiem do swej wybawicielki, częściej jednak wypływający z nałogu, który ich nie raził. Przybłąda lubił zatapiać robaka zgrzyzoty w trunksach Busela; oni wszyscy podzielali jego upodobanie. Takiego rodzaju społeczeństwo dziwiłoby się, gdyby ktokolwiek w jego łonie nie był pijaczyną; nawet gniewali się, że Rozbitek nie szedł za ich przykładem i nie wyprawiał burd po pijanemu, ale zadawał się bełkotaniem o swej wyższości duchowej, której dowodził w takim stanie przez deklamowanie ustępów w mowie niezrozumiałej—prawdopodobnie po łacinie, sądząc z częstych *us.* „Był to jedyny śmieszny nałóg jego“—mówili. Drugim jego głupstwem nazywali wyszukiwanie i zajmowanie takich punktów, z których mógł widzieć Gracyę lub głos jej słyszeć; a trzecim—skłonność do monologów wobec drzew i starych szybów, jeżeli sądził, że go

nikt nie podsłuchuje. Były to w każdym razie niewinne narowy, właściwe ludziom, co upadli bardzo nisko, a których serce trawi żal za straconą wyzłością i pogarda dla własnych słabostek.

Chata zawierająca kram i szynk Busela była zbudowana podług reguł leśnej architektury w tej części świata. Ściany jej składały się z szerokich, grubych, nieogładzonych dranic, wetkniętych jednym końcem w ziemię. Na takich ścianach spoczywało wiązanie dachu, złożone z okrągłych, grubych pretów. Na niem leżały szerokie płyty kory włókniastej, zdjętej z największych drzew w boru i zmiekkzonej ogniem, póki nie dała się wyprasować naksztalt sążnistych arkuszy blachy. Gdzie kora popekała, tam światło słoneczne wpadało do chaty złotymi ziarnami i deszcz zaciekał. Za podłogę służyła matka ziemia: więc kurzu nie brakło w chacie. Dranice w ścianach porozsypywały się i popaczyły; zład powstały pomiędzy niemi szerokie szpary, przez które gwizdałby wiatr zimowy i wpadałyby latem roje komarów, gdyby właściciel domu nie nawieszał był wzdłuż szpar płatków kory lub starej werety. Były to jedyne rzeczy w chacie przybite ćwiekami; wiązanie dachu, sprzęty—zgoła wszystko, co potrzebowało spojenia, było zresztą powiązane rzemyczkami z surowca, bo niegarbowana skóra należy do najpospolitszych, a żelazo do rzadszych zasobów pioniera australskiego. W chacie były tylko dwie izby, ale otaczała ją szeroka weranda, której część osłonięto zupełnie korą i podzielono na komórki. Tam znajdowały się sypialnie mieszkańców. Weranda z widokiem na rzekę była otwarta, a przed nią wznosiła się kuchnia domu — kuchnia australiska, z czterech słupów, na których spoczywał daszek z kory, podobny do wielkiego parasola, oraz z wielkiej kupy popiołu i żaru na ziemi. Oprócz ogromnego ognia w kuchni płonął drugi, zimny i latem, w szerokim, otwartym kominie w chacie. Palono na nim najcięższe kłody, jakie pan Busel i jego parobek mogli przynieść znad rzeki. W tejże izbie znajdował się bufet, wyheblowany toporkiem, tudzież szereg pułek, a na nich umieszczone napoje i towary. Było tam wszystkie potrosze, od specyaliów w puszkach blaszanych (gdyż mieszkańcy pustyni żywią się głównie rzeczami konserwowanymi w Europie lub w miastach australskich) do narzędzi górniczych, ale cały zapas można by zabrać na barkach dwóch ludzi. W izbie przyległej urządził pan Busel swą bawialnię, umeblował ją w stół i ławy domowej roboty, w taburety z próżnych baryłek, ozdobił ją siodłami i strzelbami, wysłał podłogę skórami kangurów, obił część mebli skórkami z małych torebników, zwanych *opossum*. Artystyczna ręka kobiety także pracowała nad przyozdobieniem tej izby. W oknach, które szyb nie znały, znajdowały się delikatne paprocie i kwiatki australskie, pielęgnowane w starych wiaderkach dla braku doniczek. Ściany były wyklejone papierem tapetowym, który popekał tam, gdzie szpary dzieliły dranie. Tu i ówdzie wisiały na nich ozdoby, zrobione delikatnymi palcami. Prawdopodobnie widzielibyśmy więcej śladów, że niewiasta przybywała w tym leśnym salonie, gdyby ich nie uprzętnięto, przy oddawaniu izby na kwatery pana porucznika z wojennej floty Jej Królewskiej Mości.

Ten pan porucznik siedział na łóżku, urządzonym z próżnych pak, skór kangurowych, żołnierskiego płaszcza i worka wypchanego sianem a zastępującego miejsce poduszki. Krępy, ogorzały marynarz wydawał się zadowolonym ze spartańskiego łoża, na którym rozwałił się także rozinawiający z nim lekarz. Właściciel chaty, podoficer okręto- wy na ordynansie i Rozbitek, tworzyli osobną grupę bliżej drzwi, okazując w ten sposób respekt dla oficera.

— Trudna do pojęcia żywotność! mówił lekarz, napełniając krótką, glinianą fajeczkę tytoniem, którego w pierw nastrugał z placka, podobnego do piernika:—Nie sądziłem, żeby człek mógł przeżyć godzinę po takim wypadku; tymczasem on gotów żyć jeszcze dni kilka. Ale pomimo całej żywotności,—każdy grób kopać. Umiera cal po calu. Nie znam dla niego lekarstwa.

— Oszuka kata!—mruknął marynarz. — Wielka szkoda! Co mu się stało rzeczywiście?

Pan doktor przybrał minę poważną, z jaką adept zwykł wtajemniczać ogół w swą wiedzę i obraca-

jąc swą długą twarz do oficera, tak przedstawił stan konającego skwattera:

— Niewdając się w niezrozumiałe wam naukowe wyrazy, powiem, że złamał krzyż i nic go nie uratuje; głowa tylko, więc i umysł, zachowuje jeszcze pierwotną żywotność. Przytem nie doznaje cierpień... skończy bez bólu. Może być, że pociągnie w ten sposób kilka dni. Nie zrobi to zresztą najmniejszej różnicy, chociażby dziś skończył... już rozporządził swoją własnością.

— Doprawdy?—wtrącił Busel, którego obchodziło żywiej to, kto odziedziczy stacyę, niż to jak długo jej obecny właściciel cieszy się będzie życiem.—Więc zrobił testament? Czy myślisz, doktorze, iż Dawid Bell dostanie stacyę?

— Nie dostanie złamanego szeląga, jeżeli się znajdzie spadkobierca wymieniony przez starego Bella.

Ponieważ wszyscy byli ciekawi imienia spadkobiercy, więc nie zwracali uwagi na intruza, który stał w samych drzwiach i wpatrywał się w lekarza, jakby chciał połknąć każde słowo z jego ust wychodzące. Był to nasz znajomy zpod cedru—Rozbitek. Miał postać mężczyzny, co dość dawno zostawił trzeci krzyżyk poza sobą, a na którego twarzy i skroni boje życia wryły dobitne ślady. Przy oczach rysowały się głęboko zdradzieckie zmarszczki; w długich, ciemnych włosach świeciły gęsto białe pasemka; oczy nie pały już ogniem młodości; ich siwe źrenice straciły były dawno ów blask, co świadczy o energii, nadziei, wierze w los i w siebie. Najczęściej przebiegał się na tej twarzy, starej nad wiek, wyraz apatyi, a czasem zjawiało się w owych źrenicach światełko, które ma obłąkanych cechować. Nie utrzymujemy jednak, iżby człowiek ten był wariatem, chociaż mieszkańcy Gulu dawno ogłosili go byli za dziwaka, który podejrzewał bliźnich, nikomu i w nic nie wierzył, wołał prawić do drzew, niż rozmawiać z ludźmi—zgoła, nie był praktyczną, prozaiczną istotą, pasującą do prozaicznego życia w osadzie.

— Czy wolno zapytać, doktorze — badał Busel, którego oblicze zdradzało większe wzruszenie niż twarz Rozbitka, może dlatego, że kupiec nie umiał panować w równej mierze nad swemi namiętnościami—o imię tego spadkobiercy? Musisz je wiedzieć; pewnie podpisałeś testament jako świadek, a może go nawet układałeś?

— Nie kazano zachowywać jego treści w tajemnicy. Starszy Bell zapisał stacyę, trzody i co tylko ma... a wiercie mi, że znajdzie się więcej niż sądziliśmy z jego prostaczego sposobu życia... wszystko co ma, tu lub gdziekolwiek, więc i kapitały w bankach w Sydney,—szanownemu panu Edwardowi Langtonowi, byłemu reprezentantowi Gulu, niewiadomemu z pobytu, lecz prawdopodobnie znajdującemu się w Europie.

— Langtonowi! — krzyknął kupiec tonem wyrażającym zadziwienie i zawód. — Któż znajdzie tego człowieka, kto wie nawet, czy on żyje?

Nikt nie uważał, że mężczyzna w drzwiach zachwiał się, zbladł, omal nie upadł, a teraz drżał cały i zmienił się prawie doniepoznania. Można by rzec, że odmłodził w gnieniu oka o lat pięć. Oczy jego zaświeciły blaskiem, który przygasł był bardzo dawno; palce poruszały się mechanicznie, głowa wyciągnęła się, jakby z obawy utracenia choćby jednego słówka z opowiadania lekarza. Całe atoli to wzruszenie przeszło prędko, i nim doktor zdobył się na odpowiedź Buselowi, górnik wrócił już do dawnej swej, doskonale obojętnej, postawy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przegląd bieżącej literatury francuskiej.

LITERATURA NADOBNA.

I.

Powiadają, że Marsylczyk jakiś, któremu pokazywano doskonały chronometr, zachwalając jego regularność, odrzekł, z uśmiechem pogardy pra-

wie, wyjmując z kieszeni stare jakieś klepadło: — „Jeśli chodzi o dobry zegarek, oto jest zegarek! we trzy kwadrans wali ci godzinę!“ Zegarek owego Marsylczyka to zegar naszego dzisiejszego życia, który przyspieszonym ruchem wskazuje ubiegłe dni, miesiące, lata. Wszystko się przetwarza i zmienia, i jeśli na jedną chwilę tylko wypuścimy z ręki tę nie przewodniczą, która nam zwiastuje każde poruszenie się wahadła zegarowego, tysiące rzeczy znika nam z przed oczu i niezgłębiona przepaść zaraz się otwiera.

Czem jest literatura, i czem mogą być książki w takim stanie rzeczy?—łatwo jest zgadnąć. To, co dziś było postępem, staje się jutro największą wstecznością; zmienia się wszystko—aż do nazwiska, nie tylko samej książki, ale i rodzaju literatury do której ona należy. I tak mieliśmy powieści czysto-imaginacyjne; zastąpiły ich powieści realistyczne, a dziś już mamy: *romans dokładny* (roman exact). Pisać więc dzisiaj *Przegląd literacki*, rzecz trudna, nawet gdy się ma przed sobą otwarte obszerne pole licznych, jedną drugą spychających, nowości.

Przegląd literatury współczesnej we Francji najwłaściwiej będzie prowadzić w dwóch działach w jednym pomieści się literatura lżejsza, nadobna, belletrystyka zwana; w drugim poważniejsza, charakter nauki i wiedzy ściślejszej na sobie nosząca. Tym sposobem czytelnik, niemieszając przedmiotów, nieprzeskakując tego, co mu niepotrzebne lub niemiłe, znajdzie łatwiej zaspokojenie swych pragnień.

Zaczynamy od belletrystyki—a jeżeli nie od abecadła, to przynajmniej od nauki czytania. Dobrze czytać nie łatwo i u nas — ale we Francji jest to prawdziwą sztuką. Dlatego to pan Bârdoux, dzisiejszy minister oświecenia, tak nalega ciągle w swoich okólnikach do rektorów i dyrektorów szkółnych, aby zwrócono największą uwagę na wprawę uczniów w czytanie. Mniej kompozycyi, powiada, a więcej czytania i zdawania sobie sprawy z czytania,—coś niby naksztalt zadania postawionego wazszemu sprawozdawcy. Idąc dalej w tym kierunku, minister uprosił p. Ern. Legouvé'go, członka Akad. Franc., a prawdziwego mistrza w czytaniu, o napisanie jakgdyby prawideł tej sztuki. Czyniąc zadosyć wezwaniu, znakomity pisarz wydał książeczkę, składającą się z 80 kartek niespełna, pod tytułem: *Traktacik o głośnem czytaniu* (Petit traité de Lecture à haute voix), dla użytku szkół poczynających. Skromny ten tytuł ukrywa przepisy, które mogą się przydać nie tylko studentom z infimy, ale i studentom pod wąsem—adwokatom, autorom dramatycznym, prelegentom wszelkiego rodzaju, i tym wszystkim, którzy mogą być wezwani do czytania albo mówienia publicznie. Rady podane w tej książeczce, tem mniej są wątpliwe, iż ten, co je daje, jak mówiłem, jest jednym z najlepszych znanych tu czytelników. Zaczawszy od sposobu, jakim czytelnik, czy mówca powinien odychać dla otrzymania naturalnych i niemordujących przestanków, aż do wymawiania liter i wyrazów—wszystko się tu znajduje, przeplatane anegdotami o wielkich mówcach lub aktorach, z których każda jakaś potwierdza regułę. Jest to więc książeczka zarazem ciekawa i nauuczająca. Tłómaczenie jej może się dla nas niezupełnie okazać potrzebnem i stosownem, ale przysposobienie umiejętnie, że tak powiem, oddałoby prawdziwą przysługę; bo jakże to u nas mało jest ludzi czytających pięknie, i mówiących poprawnie!

Od *sztuki czytania*, przejdźmy do *sztuki pisania*; ta jeszcze trudniejsza od tamtej, bo nawet reguły dla niej niepodobna jest stworzyć. Ruszajmy więc trochę naoslep. Powieści posypały się jak z worka, ale „*rari nantes in gurgite vasto*“... trzeba wszystko to przesiać i precedzić. Wskażemy wszystkie prawie, ale zatrzymamy niektóre tylko; zostawiając sobie prawo powrócenia później do tych, o których dziś wspomniemy tylko nawiasem. Są tu w poczcie autorów i starzy nasi znajomi, mający prawo obywatelstwa dobrze ustalone—i ludzie z nowych społecznych pokładów. Do pierwszych zaliczymy: Arseniusza Houssaye *Ezy Janiny* (les Larmes de Jeanne); Ludwika Ulbacha *Prosta miłość* (Simple amour); Ed. Cadol'a *Berta Sigelin* (Bertha Sigelin); L. Stapleaux *Historja ojca* (Le Roman d'un père); i na koniec Juliusza Clarétie'go *Le troisième dessous*;

X. Józefa Lubomirskiego *Wczorajsi hulacy* (Les viveurs d'hier), Henryka Greville'a *Przyjaciółka* (L'amie) i t. d. — Pozwólcie mi odetchnąć zanim wam powiem, że, aby to wszystko przeczytać, przeżuć i zdać wam rachunek, możeby życie ludzkie nie wystarczyło. Potrzebaby tu dodać jeszcze młodych i nieznaną autorów, jako to: p. Szym. Boubiégo i jego dziesięć nowell w jednym tomie, który ma tytuł: *Wróbel z wosku* (Le Pierrot de Cire). Są to powiastki mniej więcej szczęśliwe, pełnego nadziei pisarza, a pomiędzy niemi *Poset z musu* (Député malgré lui), stanowi zabawną, dowcipną satyrę na tutejsze zwyczaje i obyczaje parlamentarne. Pana de Beaussire-Seyssel'a mamy *Erismer*; jest to pierwsze dzieło młodego pisarza, który pierwsze swe wrażenia wylał w czterech, bardzo zgrabnie napisanych, powiastkach. Więcej tu waży wyraz ogólnej szczerości i przekonania aniżeli sama forma zewnętrzna, w formie bowiem dziś tylu tu celuje ludzi, u których za grosz nawet nie znajdzie się idei w głowie. Góruje strona rzemieślnicza, a w każdym razie ta, którą *rzemieślnikom sztuki* raczej niż prawdziwym artystom i poetom przyznaćby można. Chociaż *Erismer* jest największą z czterech powieści, nie zapomnijmy i maleńkich jej siostrzyczek; najmilszą może ze wszystkich jest *Przeznaczenie* (Une destinée), jest to krótkie psychologiczne studium, szczegóły, obrobione z wielkim uczuciem artystycznym, pozwalają wróżyć autorowi dobrą przyszłość na polu literackim.

Zostawiłem na koniec dwa ważniejsze dzieła — ważniejsze i ze względu na ich powodzenie i ze względu na talent ich pisarzy. *Gwiazda Jana* (L'étoile de Jean), przez p. Mario Uchar'd'a, jest to historia niezmiernie dramatyczna, bez okropności przecieży, historia człowieka, któremu los każe wybierać pomiędzy dwoma ojcami! Dziwny ten temat, przytrafiający się tu w życiu częściej może niż gdzieindziej, nie jest rzeczywiście tematem tej powieści, ale tylko punktem, na którym się wszystko obraca; bohater bowiem, jeśli poszukuje prawdziwego ojca, którego nigdy nie znał i nie widział, nie czyni tego bynajmniej w celu jakiejś namiętnej, nienawistnej *rewindykacji* socyalnej, ale przez wzgląd na konieczność, stanowiącą jedną z tych potrzeb naszego życia — „vitae rationes“, jak mówił Cyceron — których nie zaspokoić nie możemy przez wzgląd na szlachetne dążenia własnego ducha.

Bohater powieści Jan Derneau, albo jak się później nazywa d'Erneau, wychowany przez barona Sauvageot'a, chrzestnego ojca, a uchodzącego w świecie za rzeczywistego rodzica, — Jan Derneau obdarzony wielkimi zdolnościami, niezawisłym i dosyć oryginalnym charakterem, jest jednym z profilów tej tysiąco-obliczowej osobistości, która stanowi istotny wyraz naszej epoki. Francuz, w amerykańskim jakby podany sosie, nosi on w sobie zalety i wady obu tych narodowości i wytwarza typ, który w powieści więcej niż w życiu staje się osobistością wielkiego artystycznego znaczenia. Odegrzywa on wprawdzie trochę rolę tego reformatora społecznego „à la Don Quichotte“, który godzi zwaśnionych, żeni zakochanych, rozwiązuje najzawilsze kwestye społeczne, a sam, marzący i niepocieszony, przesuwa się jak Hamlet przez wielką scenę świata.

Jest tu wiele rzeczy schwyconych na razie na jawie. Dużo dowcipu, niemało humoru, co nie przeszkadza wcale temu, że i uczuciowa struna anielskim swym dźwiękiem śpiewa pieśń aż do głębi serca przenikającą. Wśród wielu scen napisanych z prawdziwym talentem potrzeba zaznaczyć widzenie się i rozmowę Jana z Notaryuszem, który posiada całą tajemnicę urodzenia i przeszłości młodzińca. Opowiadanie Notaryusza o wypadkach, które spowodowały ostateczne rozstanie się rodziców Jana jest tak porywająco-dramatycznym, że samo mogłoby zastąpić wyborną nowellę. Scena to wysoce dramatyczna a tak ześrodkowana, zwięzła, skupiona, że w kilkudziesięciu wierszach zamyka jakby wielką tragedję jakąś.

Pan Uchar'd jest autorem wielu powieści, którym powodzenia nie brakło; a ta ostatnia zaleca się jeszcze przymiotem, jakby zacności, co dzisiaj, i w tutejszej literaturze, jest prawdziwie rzadkiem zjawiskiem. Charaktery jej osób są narysowane silnie i umiejętnie, intryga i akcja naturalne i proste, je-

zyk czysty, a wszędzie, powtarzamy, pełno nietylko dowcipu, ale i humoru nawet.

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY

PRZEZ

K. Jurkiewicza.

Niespokojne dzisiejsze czasy. — Wulkanizm i gniewy Wezuwiusza. — Jego stan dzisiejszy i przyszły jubileusz. — Działalność wulkanów. — Potoki lawy. — Spokój wulkanu gorszy jest od jego wybuchów. — Góra Somma za czasów rzymskich. — Narodziny Wezuwiusza i zgon Pliniusza starszego. — Herkulanum i Pompeja. — Zabytki w nich znalezione. — Wezuwiusz w średnich i nowożytnych wiekach. — Dzisiejszy wulkanizm poza granicami Europy. — Stoicyzm człowieka.

Żyjemy, zaprawdę, w dosyć niespokojnych czasach. Przez niespokojne zaś czasy nie chcemy tu rozumieć politycznych wstrząśnień europejskich, ani obecnie zbierającej się azyatyckiej burzy, bo to bynajmniej nie wchodzi w zakres naszego pisma, ani tembardziej dotyczyć może naszej naukowej pogawędki. Ale mamy tu na myśli istotne wstrząśnienia materialne, które w pospolitej mowie trzęsieniem ziemi a ogólniej i bardziej naukowo, mianem *wulkanizmu* oznaczają. Otóż ów wulkanizm, czyli według określenia słynnego Humboldta, wpływ wewnętrznych sił ziemi ujawniający się na jej powierzchni, w tym roku straszy tu i ówdzie nie na żarty spokojną zwykle i pod tym przynajmniej względem dosyć cichą Europę. Już zaraz przy końcu zimy Hekla, ów islandzki wulkan broiła niemało. O kilka wiorst od głównego swego dawniejszego krateru dźwignęła czternaście nowych stożków, natworzyła nowych kraterów, czyli lejków wulkanicznych. To znowu stary Wezuwiusz, jak gdyby gotował się do uroczystego w roku przyszłym obchodu jubileuszowej narodzin swoich uroczystości (Wezuwiusz dzisiejszy utworzył się przez zniszczenie skutkiem wybuchu dawnej góry Somma, w 79 roku po Chrystusie), oczywiście przypomina ludziom, że nie godziłoby się zapominać o tak ważnej epoce, jak ósmnastowiekowy jubileusz swego rodzaju europejskiego potentata. Więc też od lat już trzech budzi się nieustannie. Z początku ziewał tylko słupami czarnego dymu, od czasu do czasu kalsznął hukiem podziemnym, ale widząc, że ludzie przyzwyczajeni do nieszkodliwych już oddawna kaprysów staruszka, nie sobie z jego stękań nie robią — że pan *Palmieri* najspokojniej w swoim obserwatorium, na bokach jego zbudowanym, co noc przez lunetę gwiazdy tylko wypatruje, rozgniewał się oczywiście za tę obojętność czy lekceważenie siebie i groźniej odzywać się zaczyna. Więc niby wysłańce jego, trzęsienia ziemi, pukają do wrót różnych europejskich miejscowości, tu i ówdzie od czasu do czasu przez cały rok bieżący, to nad Renem, to jak bardzo niedawno temu w Sycylii. I starzec oczywiście rozgorzał złością, bo w łonie jego od kilku tygodni czerwone iskrzą się żary, wrze lava i po brzegi wypełnia krater, a odbłask jej odbity od obłoków jaśnieje złowróżbną łuną, niby słup ognia wysoko strzelający nad sapiającym wciąż i groźącym lejkiem. Nawet sam *Palmieri* ciekawiej zaczyna poglądać ku niemu. Przed miesiącem jeszcze ten nieustraszony znawca wszelkich kaprysów Wezuwiuszowych a sąsiad jego najbliższy, uspakajał całą Europę, że obecnych jego gniewów niema się co obawiać, bo to są przemijające jedynie dasy. W rzeczy samej, jeżeli wulkan jakikolwiek ma już krater otwarty, w którym kłębi się roztopiona lava, a niezmierna moc nagromadzonych w łonie ziemi gazów ma już swobodne w powietrze ujście, jeżeli kłębi się olbrzymie, wyrwywając się z krateru, ciskają jedynie wysoko w górę bryzgami lawy, wtedy niebezpieczeństwo mniej groźnie się zapowiada. Bo lava wezbrana przeleje się wprawdzie ostatecznie przez wierzch lejka wulkanicznego, zwanego *kraterem*, może go nawet znacznie wyszczerbić i luną zrobić niemało sztucznie ujściem, może nawet przewiercić gdzieś na stokach lub u podnóża górę i rozlać się

szeroko; ale podziemne siły mają już zawsze ku wywarciu swej złości otwartą bramę. Wprawdzie i wylew lawy, mianowicie kiedy jeszcze nieznaną jest kierunek, jaki dla pochodu swego przybierze, niemiłą jest rzeczą, bo pustoszy ona na swej drodze wszystko, pali winnice, lasy kasztanowe i gaje oliwne na stokach wulkanu bujnie wzrastające, niszczy wioski i miasteczka, które śmiają się stać na zawadzie. Ale pomimo wszelkiej kłębki, można wszelako przed nią uciec z chudobą. Lawy bowiem potoki, to nie rzadkiej wody wartkie strumienie, co to zerwawszy powstrzymujące je zapory, z błyskawiczną szybkością z gór się ciskają w doliny, zmywając i unosząc wszystko na drodze spotkane: dmy czy drzewa, surowe głązy, czy pomniki arcyzmu, zwierzę czy człowieka; zostawiając po sobie wyrwy głębokie, śmierć i chaos ogólny. Lawa przeciwnie, to gęsta, wlepka masa, podobna z pozoru do wylewanego na ulicach naszych asfaltu, posuwająca się wprawdzie ze znaczną niekiedy szybkością, ale przed którą doskonale piechota, i nieśpiesznym nawet krokiem, cofać się można. A kiedy na drodze swojej natrafi na jaką przeszkodę, to spiętrza się przy niej — spotkanego muru nie podmyje w jednej chwili i nie obali brutalnie jak woda, owszem woli wierzchem się przelać przez niego, lub obejść wokoło. Wprawdzie zapali drzewo lub budynek po drodze w gorącym swym uścisku, ale robi to wszystko powolnie i spokojnie. A ponieważ, stykając się z powietrzem, stygnie i tęższe, jak gorący asfalt na chodniku, to sama przez to hamuje zbyt szybki swój pochód i nieustannie przelewa się przez czołowe swoje, zakrzepłe już masy. Jest to niby potok kry, ciągle przez rzekę łamanej i kruszonej. Wszyscy świadkowie opisują bieg lawy nie jako ciekłego strumienia, ale raczej jako przewalanie się i toczenie kawałków żuzłowatej masy. Z początku biegnie lava mniej więcej dwie wiorsty na godzinę, następnie coraz wolniej, a skoro ostygnie i zgęstnieje, to się ledwie o jedną stopę naprzód na dobę posuwa. Kiedy zaś ostygnie na wierzchu i niby szklaną grubą powłoką, to choć pod tą powłoką piekielne jeszcze goreją żary, można bezkarnie po wierzchu jej przebieść, jak to w końcu zeszłego stulecia zrobiły zakonnice z Torre dell' Annunziata, kiedy ich klasztor wokoło oblany lawą innego nie miał ujścia. Lawa więc wylewająca się z wulkanu, jakkolwiek nie miłym jest wszędzie gościem, to wszakże najniewinniejszym jeszcze stosunkowo z fatalnych podarków wulkanizmu. Owszem, w następnych latach, kiedy podziemne siły się uspokoją, kiedy wulkan znowu na długie lata do cichego snu się ułoży, zakrzepłe te potoki ostygłej lawy rozkruszą się na grunt przedziwnej żyźności, na którym wyrosną bujne oliwne lasy i plenna winna latorośl o jagodzie najszlachetniejszym sokiem nabrzmiałej.

Wulkan dającą się, dymiącą przez długie miesiące czy lata, gęstym zionącym popiołem, ciskającą w górę tak zwanymi *bombami*, czyli zaokrąglonymi bryłami stopionej i zakrzepłej w powietrzu lawy, miotającą wokoło *rapillami* albo drobnymi jej okruciami, wylewającą nawet obfite jej potoki, jest zapewne wspaniałem swą grozą zjawiskiem, ale stosunkowo już bezpiecznym. Gorsze stokroć jest jego złowieszcze milczenie. Kiedy liczne południowo-amerykańskie wulkany dymią, to sąsiedni mieszkańcy śpią spokojnie; dopiero skoro dymić przestaną, strach wstępuje w każdego, bo to mu zapowiada blizkie ziemi trzęsienie. Wezuwiusz naprzykład silnie wybuchał od 1751 do 1755 roku, więc przez czas ten cały w Europie spokojnie było, ale kiedy umilkł nagle w Styczniu 1755 roku, to zaraz w Lutym zdrząły wyspy w archipelagu greckim, w Czerwcu Persya, w Sierpniu Anglia, a w dzień Wszystkich Świętych wydarzyło się straszliwe zburzenie Lizbony. Od 1756 znowu do 1758 wszystkie kraje europejskie z kolei trzęsieniem nawiedzane były; w 1759 Damaszek uległ losowi Lizbony, a pokój dopiero nastąpił, kiedy 29 Września tegoż roku utworzył się słynny wulkan *Jorullo* w Meksyku, a w następnym 1760 r. Wezuwiusz znowu najstraszniejszym zapłonął wybuchem, jaki dzieje jego w ostatnich czasach nam przedstawiają.

A jeżeli ku dawnym wiekom zwrócimy nasze wspomnienia, do czasów narodzin Wezuwiusza, to

przekonamy się również, że nie gromy czynnego wulkanu, ale długi jego spoczynek bywa zapowiedzią strasznej katastrofy. Przypomnijmy sobie tedy pokrótce ową straszną epokę, której osmnastowiekowy jubileusz w przyszłym przypada roku.

W pierwszym wieku ery naszej, miejscowość, na której dziś Neapol się wznosi, stanowiła żyzną płaszczynę, znaną pod nazwiskiem *Rzymskiej Kampanii*. Ciepło południowego nieba, bujna roślinność, grunt plenny, a do uprawy łatwy, czyniły kampanię jedną z najprzyjemniejszych rzymskich posiadłości. Mnoga też ludność tu się rozsiadła, a siedm miast na niewielkiej przestrzeni wybrzeża morskiego zbudowanych prowadziło handel czynny i ożywcy. Bogaci rzymscy patrycyusze mieli tu swoje wille, do których na letni wypoczynek i rozkosze skwapliwie zdążali. Wśród owych kwitnących italskich ogrodów wznosiła się niewysoka góra, Somma, w postaci pierścienia ze wszech stron zamkniętego, ze znacznym w środku wgłębieniem. Góra ta, umajona winnicami, oliwnymi i kasztanowymi gajami, w zagłębieniu owym i na stokach swoich przedstawiała obszerną niwę, na których liczne trzody bujne znajdowały pastwiska. Nikomu wtedy i na myśl nie przychodziło, że ta zielona i uroczna góra może być bliską powinowatą ognistej Etny, która wybuchami swemi wciąż Rzymian drażniła. Jeden tylko podejrzliwy głos geografa *Strabona* raz się odezwał ze zdaniem, że ta precudna kotlina Sommy niezmiernie do wulkanicznego krateru podobna. Ale kiedy żadne starożytne podanie nie przekazywało wspomnień o jakimkolwiek w tych miejscach wybuchu, to i nikt nie troszczył się o to, czy tam głęboko, pod jego nogami, twarde zalegają posady, czy może odwieczne pałają żary. Raz tylko w rzeczy samej Somma zagroziła całej Italii postrachem, ale weale z innego powodu. Wiemy, jaką rolę gladyatorowie czyli szermierze odgrywali w Rzymie. Otóż siedm dziesięciu z nich, mając na swem czele mężnego i pełnego poświęcenia Spartakusa, wyszedłszy z Kapuańskich koszar podburzyło innych gladyatorów i niewolników, a niebawem kilkadziesiąt tysięcy na wszystko poświęconych ludzi zerwało się do wojny domowej przeciw dumnym patrycyuszom Romy. Otóż Spartakus główne swoje obozy założył w tej kotlinie Sommy i ztąd właśnie gromił wysyłane przeciw niemu konsule i pretory. Było to niejako smutną przepowiednią, że w lat 150 później, podziemne siły w łonie głębokiem ziemi utajone, chcą zerwać cisnąc je pięta, również straszną wypowiedzą walkę spokojnym i bezpiecznym dotąd posiadaczom Kampanii.

Jakoż, w 63 roku po Chrystusie, za czasów Nerona, Somma trzęsieniem ziemi po raz pierwszy gwałtownie zadrżała, a mury owych okolicznych miast siedmiu z posad swych w znacznej części runęły. Ale był to zaledwie przedświt wielkiej grozy, która wkrótce nawiedzić miała szczęśliwą dotąd krainę. Bo oto w 16 lat potem, za panowania cesarza Tytusa, a w 79 roku ery naszej, podejście *Strabona* w rzeczywistość się zamieniło. Somma buchnęła wulkanem; jej ściana ku morzu zwrócona w nie się zapadła i zniknęła, a ze środka owej, zieleniejącej bujną roślinnością kotliny, podniósł się majestatycznie wysoki wulkaniczny stózek — dzisiejszy *Wezuwiusz*. — Przez kilka dni i nocy wybuch ten siał zniszczenie dokoła, a najgłośniejszą jego pastwą z owych siedmiu miast kwitnących, stały się: *Herkulanum*, *Pompeje* i *Stabie*. Znikły one, nie pod potokiem lawy, ale pod strumieniami rozrobionego w wodzie iłu i popiołu wulkanicznego, który je zalał ze szczytem.

Historia wypadku tego, przez naocznego świadka, *Pliniusza młodszego*, opisana, pozostała do dziś dnia w pamięci każdego, i jeszcze przejmuje sąsiadów *Wezuwiuszowych* mimowolną trwogą, ile razy góra hucze zaczyna. Wtedy, to i *Pliniusz starszy*, stryj pierwszego, poniósł śmierć w *Stabii*. Był on admirałem rzymskim i z flotą swoją stał w porcie *Misenum*, o pięć mil od Sommy odległym. Spiesząc na ratunek nieszczęśliwym mieszkańcom, wysiadł na ląd w *Stabii*, tyleż od wulkanu odległej; tam na ulicy pod deszczem popiołu upadł, a jako człowiek otyły i stary, prawdopodobnie udusił się i na drugi dzień dopiero przez synowca odnalezionym został. Podczas całego wybuchu i w *Stabii* i w *Misenum* taka panowała ciemność, morze po-

kryło się tak wielką ilością wyrzutów wulkanicznych, że flota rzymska zmuszona była oddalić się od brzegów.

Przez długie następne wieki, zapomniano nawet miejsca, w którym miasta owe stały — nie odszukiwano też ich weale, a na ich zgłiszczach ludzie jak dawniej, rozsiedli się szeroko. Dopiero na początku przeszłego wieku, kopiąc studnię, natrafiono przypadkiem na teatr herkulański. Odtąd odkopywanie w różnych czasach z większą lub mniejszą prowadzono gorliwością. Daleko już później natrafiono na *Pompeje*, ale ponieważ na niej tylko dziesięć łokci ziemi wulkanicznej leży, kiedy *Herkulanum* pod sześćdziesięcio-łokciową spoczywa powłoką, to *Pompeja* prawie całkowicie, a *Herkulanum* dla trudności głębokich robót, w części tylko jest odkryte.

W obudwu miastach znaleziono wyraźne stwierdzenie wszystkich powyżej podanych faktów. Są ślady owego pierwszego trzęsienia ziemi, które je uszkodziło na 16 lat przed ostatecznym zniszczeniem. Są materyały budowlane przysposobione do naprawy uszkodzonych budynków; niektóre gmachy wyraźnie nowo są postawione, a na nich niezatarty jeszcze napis głosi, że są odbudowane po trzęsieniu. Nie prawie spalonego w obu miastach niema, co by nastąpić musiało, gdyby *Herkulanum* i *Pompeje* przez roztopioną lawę zalane zostały. Wszystkie domy i piwnice nawet, są napełnione stwardniałym dziś item wulkanicznym, w którym doskonale przechowało się mnóstwo przedmiotów codziennego życia. W koszarach są jeszcze naderzwiami nazwiska zamieszkujących je niegdyś żołnierzy. Malowania na ścianach nie zmieniły się weale i są zupełnie świeże. Studni publiczne obłożone są takimiż samymi muszlami, jak i dzisiejsze w *Neapolu*. U jakiegoś naturalisty znaleziono ich zbiór całkowity. Belki w domach szczytniały, ale wewnątrz są jeszcze prawie niezmiennym drzewem. Siecie rybackie, mnóstwo owoców w sklepikach, można było rozeznac doskonale. U piekarza znaleziono chleb z wyciśniętem na wierzchu jego nazwiskiem; u aptekarza puszkę z pigułkami, a na stole wałeczek masy, z której pigułki robiono, zostawiony prawdopodobnie w pośpiesznej ucieczce. Znaleziono również kawior i oliwki w naczyniu szklanem napełnionem oliwą — oliwa zgorzkała, ale oliwki świeżemi pozostały. Najbardziej uciążliwym relikwiami na papierze, jakkolwiek niektóre jeszcze, chociaż z trudnością, odczytać można było.

Skieletów ludzkich w obu miastach znaleziono bardzo mało; widać ztąd, że ludzie mieli czas do ucieczki, której nie zaniedbali wśród rześkiego deszczu popiołów. Tu i owdzie tylko spotyka się kościotrup nieszczęśliwego, który ocalił się nie zdołał, lub żołnierza stojącego na warcie, którego powinność przykuła do miejsca. W jednej tylko piwnicy znaleziono 17 osób, które zapewne schroniły się tu przed popiołem. Jedna z nich, kobieta, ze złotym łańcuchem na szyi i kosztownymi pierścieniami na palcach, trzymała jeszcze dziecko u łona.

Powstały przy *Pompejańskim* wybuchu *Wezuwiusz*, od tego czasu w rozmaitych epokach mniej lub więcej boleśnie przypominał się ludziom. Od XIII do XVII wieku milczał całkowicie, a krater jego znowu wewnątrz zamienił się na łąkę, na której stada owiec się wypasały. Na początku jednakże XVII wieku znowu zrzucił swoje okowy, buchnął strasznym pożarem i odtąd nie zamykał się już więcej. Z późniejszych jego wybuchów straszniejszy nad inne miał miejsce przy końcu przeszłego wieku, kiedy potok lawy spalił miasteczko *Torre del Greco*. Od lat trzech znowu się gniewa, nawet w ostatnich tygodniach mocniej, niż wprzód, ale potoki lawy już z niego płyną, spodziewać się więc można, że powoli wszystko bez groźnych następstw się ukończy.

Tegoroczne częste trzęsienia ziemi, i teraz jeszcze tu i owdzie ciągle prawie w Europie się powtarzające, jakkolwiek niezbyt w skutkach swych szkodliwe, dowodzą wszelako, że podziemne siły w obecnych czasach czynnie pracują. Mamy niedawne wiadomości z *Ameryki południowej*, że słynny tamtejszy wulkan *Cotopaxi* mruczy także, że zrzucił właśnie ze szczytu białą swoją śnieżystą szatę, co dowodzi, że we wnętrzu jego mocne za-

plonęły żary. Najświeższe znowu wiadomości z najodleglejszych krańców azjatyckiego wschodu donoszą, że na wyspach *Aleuckich* wulkany się budzą i złowrogimi błyszczyć zaczynają światłem. Nie to nie szkodzi: niech owszem gwałtownie prężące w łonie ziemi pary i gazy jak najwięcej ujdą dla siebie znajdują — tem więcej będziemy mieli pewności, że gwałtowne trzęsienia nie sprowadzą nam wielkiej gdzieś katastrofy.

Zastanawiając się nad wybuchami wulkanicznymi, mimowolnie nasuwa się uwaga: dlaczego ludzie obawiają się, i słusznie, srogich objawów wulkanicznych, tulą się wszakże do stoków i podnóża gór ogniem i śmiercią zionących? Dlaczego sąsiedzi *Wezuwiusza*, tyle razy już straszliwie gniewem jego nawiedzani, rozsiadają się tuż obok niego, jakby niepewni, jak groźny los spotkać ich może. Wszakże dobrze wiedzą o tem, a jednakże spokojnie zajmują się uprawą winnic i oliwnych gajów, bezpiecznie w wieczór udają się na spoczynek i tylko wtedy niedowierzająco poglądają ku szczytowi, kiedy ten, jak obecnie, huczy i płomiennymi wysoko ciska pociskami. Bo człowiek dziwnie oswaja się z niebezpieczeństwem — a jeśli hojny plon z żywej zbiera niwy, jeśli sąsiedztwo morza korzystny mu zapewnia handel, to nie troszczy się bynajmniej o zgniłą febrę *Bagien Pontyńskich*, mało go obchodzi malaryczne wyziewy *Maremmów Toskańskich*, które go straszniej i pewniej dziesiątkują, niż niekiedy tylko wydarzający się wybuch wulkanu.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Listopadzie.

(Dokończenie).

Od utyskiwań przechodząc do faktów, wydatnic mi jeszcze wypada studia portretowe p. *Maurycego Gottlieba* (którego w ostatnim liście mylnie nazwałem „Henrykiem“, trzymając się mylnego katalogu). O kompozycjach jego wiele już w *Bluszczu* pisałem; pierwszy raz jednak oglądaliśmy portrety pana G. Wrażenie, jakie odnieśliśmy, było pełne otuchy w przyszłość młodego artysty na tem polu. Pędzel jego toruje sobie w malarstwie portretowym odrębne ścieżki; artysta posiada przenikające poczucie natury, siłę indywidualizowania nawet najbezbarwniejszych postaci; umie odczytać we fizyognomii i w charakterze takie rysy, które przysłaniają się grubą mgłą powszedniemu oku i utraciły wszelką siłę zewnętrznego wyrazu. Studya pana Gottlieba imponowały jednością pędzla i bogactwem wyrazistej charakterystyki. Prześliczna postać poety marzyciela, ś. p. *Władysława Tarnowskiego*, nie uroniła nic ze swej tęsknej poetyczności i cichej melancholii w tem odtworzeniu jej przez młodego artystę.

Najwytrawniej malowanym, i artystycznie najdoskonalszym, był duży obraz *Antoniego Kozakiewicza* *Zabawa w kaźni*. Z usposobienia mego nie lubię szorstkiego i trywialnego realizmu w sztuce, a jednak sposób wykonania osnowy, z natury swojej wybitnie realistycznej, taką u p. K. uderza prawdą i siłą życia, że wszelki niesmak, jaki zwyczajnie wywołac w nas musi wyobrażenie kaźni ulatnia się pod wpływem doskonałego artystycznego wykonania obrazu. Pan Kozakiewicz przez obraz ten stanął u szczytu naszego malarstwa rodzajowego. W jego *Kaźni* tyle jest naturalności, swobody i werwy w układzie grup, w doborze typów, w szczerości, humorze i prostocie ich wyrazu, że niepodobna nieobudzić w sobie estetycznej sympatii. Artysta odnosi tryumf przez zachowanie miary, bogactwo wyobraźni i żywe ujęcie przyrody, którą kreśli z dosadną plastyką i szlachetnym humorem (1).

(1) Obraz ten znajduje się obecnie na Wystawie Tow. Zach. Szt. Pięknych w Warszawie. (Przyp. Red.)

Pochwałskiego *Chłopcy w kąpielach* zdradzają pędzel, który pasuje się jeszcze z ociężałością szkoły i brakiem wyrobionej doświadczenia intuicji artystycznej, popośnia przeto niezręczności w kompozycji, maluje źle krajobraz i wieszka, że tak powiem, ołowianą kulę u skrzydeł wyobraźni artysty; ale z tem wszystkiem, pomimo znamion początkującego pracownika na niwie sztuki, znać w nim i sumienne studia i pewną oryginalną siłę, tak w pomysle, jak w wykonaniu, i pewną wreszcie, nieulekłą dzielność fantazy, która rwie się do zuhwalnych motywów i rozwiązuje je — *con brío*... Anatomia i koloryt żyłastych, ogorzałych ciał parobczaków, siedzących w wodzie i obryzgujących z niej swoich towarzyszy na brzegu, są i trafne i z natury bądź wyczone, bądź odczute. Z nie miałem zajęciem śledzić będziemy ten świeży i rzetelny talent.

Bolesław Łaszczyński obdarzył nas kompozycją, która może przewyższa najwytworniejsze roboty jego pędzla. *Kyrye Eleyson* przedstawia magnata, który, wstając z łoża, na duchowny posiłek i utraipienie sprośnego ciała każe biczować się po obnażonych plecach nadwornemu kapelanowi. Przybranie obrazu — okazała sypialnia z kosztownymi obiciami, miękkim puchem dywanów i ryszunkiem doborowej zbroi, malowana jest z właściwą Łaszczyńskiemu elegancją i wykończeniem; bernardyn typowy, wyraz biczowanego trafnie oddany. Wartość obrazu pod względem wykonania o wiele przewyższa wartość osnowy.

Kazimierz Mirecki wystawił cały szereg nowych obrazów, z których czerpiemy coraz silniejsze przeświadczenie, że talentowi tego artysty braknie tej zdrowej, sympatycznej naturalności, która w bujnym ogrodzie rzeczywistego życia szuka dla siebie motywów, oblewając je poetycznym promieniem ideału, a nie uganiam się za dziwactwami lub kapryzami, za sztucznym komizmem, w którym niema humoru, albo za wyrefinowaną przeraźliwością, której braknie prawdziwej grozy. Jego *Smieszny konkurent* zaplątał się w dziedzinę płaskiej karykatury, a *Twardowski*, pojęty niezręcznie, w całej kompozycji swojej nie wykracza poza sferę utartych komunalów. Niepobawiony on jest efektów, ale w zestawieniu ich braknie siły i ponurego piękna. Wszystko tu czarne i złowieszcze, a jednak pierś tej natury nie oddycha wewnętrzną grozą. Frazes nie zastąpi twórczej siły. Nowe obrazy Włodzimierza Łośia: *Gajowi* i *Przed gankiem* ugrzęzły także w jałowej glebie szablonowego komunalu; osnowa, zwłaszcza w drugim obrazie, nie budzi żadnego zajęcia, bo jest czerzą i wyzyskaną do przesyty. Wielkim znakiem zapytania, o którego rozwiązanie jednak może nie warto się kusić, jest obszerna, czarno zamalowana, a z jednej tylko bryki i kilku szkapek złożona, kompozycja Adama Chmielowskiego, nosząca tytuł: *Oczekiwanie*. Kto, gdzie, na kogo czeka?... Fraszkla! powiedział sobie zapewne artysta... Nawet w nowym obrazie Szerera *Przy studni* nie upatrujemy dążności do wydobycia się z zaczarowanego koła przedmiotów zużytych, a w treści swej ostatecznie zawsze ubogich, ilekroć ich nie owieje głęboka serdeczność lub nie wyposażą nowo-zdobyty rys duszy. Musimy walczyć przeciw takim obrazom, bo w ten tylko sposób zachęcimy naszych malarzy do szerszego nateżania wyobraźni.

Krajobrazów na tegorocznej wystawie było dużo, i pięknych. O kilku już mówiłem. Dziś wspomnę już chyba tylko o najpiękniejszym z nich, o kompozycji Zygmunta Sidorowicza: *Wieczór*. I tu artysta nie stworzył nowych kształtów, nie zadziwił nas bogactwem lub oryginalnością wyobraźni, ale za to umiał w wiązkę znanych motywów przelać tyle duszy i serca, że obraz nabiera gorącego oddechu życia, i wszystko w nim czuje, marzy, roztkliwia się, tęskni, i spływa na nas, jakby dusza natury, i współczujemy z cichymi wzruszeniami jej łona. Heł jest charakteru chwili, ile poetycznej melancholii w tej sielance wieczoru, spadającej na smukłe, półnagie konary lasu, na wełniste fale rzeki i na kępy wodnego kwiecia, tulącego się czule ku sobie — o zmroku! Zwłaszcza woda z fantastycznym arabeskiem zachodnich promieni, odbitych w jej zwierciadlanej toni, jest prawdziwie zachwycająca. Mało sztuka nasza wydała krajobrazów tak głęboko poczytych. Pokrewne, ale

mniej silne już wrażenie sprawia pejzaż Alex. Świeszewskiego: *Z nad brzegów Wisły przy wschodzie księżycu*, a piękne prace Maleckiego, Brochockiego, Bieszczada i Grabińskiego, zasługiwałyby na obszerniejszą ocenę, gdyby mi na nią starczyło miejsca.

Prelekcje rozpoczęły się w tym roku wcześniej niż zwykle. Na rzecz jednego ze stowarzyszeń akademickich urządzono już wraz z początkiem Października szereg odczytów. — Rozpoczął je utalentowany i wielostronny pisarz Wojciech hrabia Dzieduszycki; mówił trzy razy: *O rozwoju pojęć o cnocie i występku*. Tytuł nie wyczerpuje rozległości przedmiotu, który mówca objął; nie ograniczył się on bowiem na przedstawieniu rozwoju pojęć etycznych i obyczajowych, ale usiłował streścić w najogólniejszych a zarazem plastycznych zarysach, ogólny systematyczny rozwój ducha ludzkiego i cywilizacji we wszystkich celniejszych zakresach: religii, moralności, filozofii, poezji, życia społecznego, urzędów i pojęć politycznych i t. d. Był to zajmujący i migotliwy mikrokosm, w którym autor umiał zawrzeć, niby w objętościach atomu, wszystkie charakterystyczne objawy cywilizacyjnego wyrabiania się pojęć i dziejów ludzkich od ich pierwotnej kolebki aż do chwili obecnej. Wykłady te, wypowiedziane językiem pięknym, kwiecistym, a niemniej treściwym, zawierały wiele materiału przetrawionego do dna i zrozumiałe też wyłożone. Specjaliści nie mogły one zadowolić, bo objąwszy tak wielki zakres, musiały nieraz muskać tylko powierzchownie przedmiotów; ale ogół nauczyły wiele, a i ludziom głębszej wiedzy ukazały niejedną fakt, niejedną ideę historyczną w świetle samoistnego, szczęśliwą oryginalnością nacechowanego, poglądu. Po hr. Wojciechu Dzieduszyckim mówił parę razy dr Julian Ochorowicz, docent przy wszechnicy Lwowskiej, w zwykły swój, swobodnie popularny, humorem zaprawny sposób: *O zasypianiu i budzeniu się*, a dr Cwikliński, prof. filologii, na tejsze wszechnicy *O Mikebach i wykopaliskach Schliemanna*. Szanowny profesor świeżo zwiedził tę kolebkę mytów i dziejów klasycznych i podał niezmiernie zajmującą wiązkę szczegółów o głośnych odkryciach i przestrzeżeni, na którą się one rozciągnęły; z pomocą wskazówek wydobytych z łona ziemi objaśniał dr Cw. liczne szczegóły życia domowego, towarzyskiego i publicznego w Grecji; mówił o rozwoju przemysłu, ceramiki i t. p. Praca jego była nader uczona, może na popularny wykład zbyt uczona; trwałszy wpływ wyrwe ogłoszona w czasopiśmie.

Świeżo przybyły z Paryża, pan Bruno Abakanowicz, docent politechniki tutejszej, rozpoczął cykl dziesięciu wykładów o najnowszych wynalazkach w dziedzinie przemysłu, sztuki, komunikacji, urzędów i robót publicznych, ballistyki i nautyki i t. p., a to oparłszy się na poziomie najnowszego stanu rzeczy, jaki się okazał na Wystawie Paryskiej, którą studiował w tym dziale przez kilka miesięcy. Pierwsza prelekcja poświęcona była licznym doświadczeniom z fonografem Edissona i jego udoskonaleniom. Praca p. Abakanowicza, jeżeli się powiedzie, może mieć wielką doniosłość; pozwoli ona spożytkować na glebie domowej liczne udoskonalenia przemysłowo-rękodzielnicze i rozszerzy ogólny widnokrąg naszych pojęć o wspaniałej dziedzinie toczących się dziś tak żywym biegiem wynalazków.

Checiałem jeszcze mówić o książkach, o muzyce i teatrze, ale spostrzegam, że już na dzisiaj — zapóźno....

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECZ.

Na *Wystawie przemysłowo-rolniczej*, odbytej w miesiąc Październiku w Retowie, majętności księżąt Ogińskich na Żmujdzi, przyznano:

Medale srebrne paniom: księżnie Maryi Ogińskiej, za owoce; księżnie Oldze Ogińskiej, za owoce (winogrona, gruszki, śliwki i figi); Kamili Sakielównie za samodziół; Beacie Pieczkowskiej za

dywan; Konstancyi Bimber, za pled; hrabinie Łubińskiej, za malowidła na porcelanie; Maryi Wolmerowej z Wieżaj, za wyroby snycerskie z lipowego drzewa. *Dyplomy na medale srebrne* otrzymały: księżna Michałowa Ogińska, za ulepszoną rasę perliczek; księżna Bogdanowa Ogińska, za indyki.

Medale brązowe — paniom: hrabinie Mielżyńskiej z Górz, za dwie pary kur niegrzebiących; hrabinie Choiseul, za winogrona w kilku gatunkach; księżnie Oldze Ogińskiej, za kwiaty; Gerdwojnowej, za dywan; Irenie Narkiewiczowej, za samodziół; Ludwice Muszyńskiej, za dywan; Paulinie Beresnie-wiczównie, za pled; Alexandrze Janowiczowej, za przedziwo i dywan. *Listy pochwalne* — paniom: hrabinie Mielżyńskiej, za białe gęsi poprawne; Róży Hlaskowej z Birczuk, za płaską rzepe; Urbanowiczowej, za dywany; Przyałgowskiej, za tkaniny wełniane; Maryi Piotrowskiej, Karolinie Stankiewiczowej, za tkaniny półwełniane. Niedorośla panienska Olimpia Przyałgowska, otrzymała także medal, za wyszywanie górą (bawełną czerwoną). *Nagrody pieniężne* dostały właścianki: Czekinowa, za rzepe; Zutowtowa, za kartofle; Mucinowska, za kalarepe; Kazraginowa, za cebule; Karolina Chorszewska, za wyroby wełniane.

W Brodach na *Wystawie ogrodniczo-pszczolniczej*, między 78 wystawcami w dziale ogrodniczym, zaznaczyła się najszczególniej p. Zofia Szymanowska ze Spasowa, znana w tym kierunku z obywatelskiej zacnej działalności, nietylko pod względem pracy własnej, ale możliwego rozszerzania poprawy ogrodnictwa.

Na *Wystawie wyrobów z gliny, drzewa i szkła* w tutejszem Muzeum przemysłowym, otrzymała *medal brązowy* szkoła snycerstwa hrabiny Stanisławowej Potockiej w Rymanowie, była to przecież nagroda, odznaczająca jedynie odpowiednią wartość wyrobów przedstawionych, gdyby bowiem stanowiono tu o zasłudze szkoły samej, należałoby dać medal z najczystszej złota — medal z napisem: „Za miłość bliźniego, za zacność obywatelską“. Miasteczko Rymanów, położone jest w Beskidach; góry te niewysokie, nieprzechodzące wysokością 2,000 stóp, lesiste i wesołe dla oka, są przecież jak wszystkie góry miejscem mało urodzajnym i lud, oddający się jedynie rolnictwu, popadł w nędzę, w której pograża się coraz więcej, popychany w jej głąb przez pijaństwo i lichwę, dwie ciężkie plagi tych okolic. Góral z Beskidów jest nieszczęśliwy i zdemoralizowany, głód stale powtarza się tu co wiosna, dziesiątkując ludność; ziemia przechodzi niemal w całości w ręce lichwiarzy i bardzo ponury jest obraz życia, wiedzionego wśród pięknych, uśmiechających się oku dolin. Otóż hrabina Anna z Działyńskich Potocka, właścicielka Rymanowa, pod natchnieniem najzaczniejszej filantropii postanowiła założyć szkołę snycerstwa, i zaprowadzić między młodem pokoleniem przemysł podobny temu, jaki w Alpach szwajcarskich i Voralbergu niemieckim, ratuje ludność górską od głodu. Łącząc praktyczność z wolą dobrą, otworzyła przed trzema laty szkołę swą na zimę, gdy chleb i kąt ciepły już był potężną przynętą dla biednych chłopiat i zjawilo ich się zaraz liczba niemała, a obecnie ciśnie się do szkoły z końcem każdej jesieni więcej, niż przyjąć ich można. Miejsca jest na dwudziestu pięciu, wiek uczniów oznaczony od lat 10 do 17, i obecnie uczniowie szkoły Rymanowskiej nie dostają już nauki jako jałmużny, wypływając się za nią szkole robotą. Zdolny i pracowity chłopiec zarobić może dla siebie od 8 do 15 reńskich na miesiąc, co jest już bardzo wysokim na tamte strony i porę zimową zarobkiem. Z wiosną szkoła wypuszcza swych uczniów w góry, gdzie wracają do pasterskiego życia na halach, robota przecież nie ustaje, pracuje się tylko na swobodzie, wśród natury, która nastęrcza wzorów dodatkowych, bo szkoła nie przestaje udzielać ich pastuszkom i w lecie, nie przestaje uważać ich za uczniów swoich. Chłopcy znoszą swoje wyroby do Rymanowa co poniedziałek, otrzymują rady i wskazówki, nagany lub pochwały; otrzymują połowę summy, jaką robota dokonana po sprzedaniu przyniesie, dostają nową i odchodzą z nią pod szafasy swe na pastwiskach górskich. Hrabina Potocka, uzdolniona odpowiednio, gdyż rysuje i maluje sama, jest tu, nie nominalną, ale

rzeczywistą dyrektorką, a estetyczne wykształcenie smaku uczniów, z natury do tego ukształcenia zdolnych, z natury pewnem poczuciem piękna obdarzonych, wzrasta z każdym rokiem, wzrasta jak i zamiłowanie pracy swojej, wyższe umoralnienie i ogłada towarzyska. Bo i na te względy wysokiego znaczenia, szkoła zwraca uwagę i oddziaływa umiejętnie. *Gazeta Warszawska* w podanej wiadomości o szkole Rymanowskiej zainicjowała szczególnie jeden ciekawy i wysoce pod względem pedagogicznym pouczający. Uczniowie szkoły, to dzieci rodzin nieszczęśliwie przez pijaństwo upadłych: więc pod wpływem szlachetnie rozumnej delikatności serca nigdy nie mówiono im nie przeciw smutnemu nałogowi; lękając się zawstydić, upokorzyć ich w uczuciach synowskich, lękając się uczuć tych świętych nadweryżyć, nie dotykano tego przedmiotu, i oto na Boże Narodzenie roku zeszłego pokazało się, że chłopcy przysięgli sobie nie pić wódki.... Podnoszono tylko cały ich poziom moralny, uczlachtetniano ich przez oświatę, przez rozwój artystycznych zdolności, i rzecz przyszła sama z siebie, wynikała naturalnie jak kwiat, rozkwitający na roślinie, której soki żywotne w górę biją.

Przejawia się to w wychowawcach szkoły Rymanowskiej pod wieloma względami: zamiłowanie czystości, dbałość o powierzchność swoją, pewna w tym kierunku elegancja i wyższe uobyczajenie, forma obejścia się delikatniejsza, wykazująca to odrazu. Zbliżenie się do klasztoru wykształconych, wzory, jakie mają przed oczyma działają na nich, potwierdzając nowym przykładem prawdę starego bardzo zdania, że niższe warstwy społeczne są zawsze takimi, jakimi chcą je uczynić ci, którzy są u góry. Jest to modła, na którą się wzorują.

O przyszłości szkoły Rymanowskiej, co niemal znaczy przyszłość ludności osiadłej w Beskidach, stanowi takie rozszerzenie zbytu wyrobów, obecnie przez szkołę zbywanych, aby produkcja ich, stawszy się przemysłem ogółu mieszkańców, równoważyła ubóstwo produkcji rolnej, niewystarczającej na utrzymanie, ponad nędzę podniesione. Ta przemysłowa strona rzeczy jest osią dzieła, które może uczynić nazwisko Anny Potockiej tak dla ludności tamtejszej drogim i na długie wieki błogosławionem, jak drogim i błogosławionem jest w Górach Kruszczyńskich, w okolicach Annabergu, nazwisko Barbary Utman, która podobnie stała się dobrodziejką tysięcy, przez zaprowadzenie wśród biednej ludności góralskiej przemysłu koronczarskiego.

Wśród okazów wystawy z gliny, znajdowały się glinki nadesłane przez panię Brzeżańską z Przypustu w Nieszawskim; Czechowiczową z okolic Wilna; oraz malowanie na porcelanie i szkłe przez hrabinę Maryę Łubińską z Warszawy. Wśród wystawy z drzewa, był piękny stolik malowany przez panią Friedländer; oraz koszyki panny Kuczynskiej i ładnej roboty patarafka z kory i narośli brzowego drzewa, pani Stankiewiczowej, a każda z wystawczyń zasłużyła się już tem wobec przemysłu krajowego, że się ruchem jego zajmuje, i postępować z nim pragnie, że nie jest apatycznie obojętną na te rzeczy ogólnego znaczenia.

Muzeum istniejące we Lwowie przy zakładzie Ossolińskich, zostało zubożone drogocennym darem hrabiny Alfredowej Potockiej; składa się on z pysznego namiotu tureckiego, zdobytego pod Wiedniem przez Jana III, oraz z krajowego gobelinu, przedstawiającego Michała Radziwiłła w bitwie stoczony w okolicach Mozyru. Gobelin ten, wysokiej piękności i cenny jako zabytek starożytnej sztuki, był przecież bardzo zniszczony; jednak staraniem tej pani dokonane odnowienie, wróciło mu utraconą wartość.

Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt niezamożnych, działające w prowincjach: Prus Zachodnich, Poznańskiej i Szlązka, dobiega ósmego roku istnienia i właśnie gałęź towarzystwa poznańska, ogłasza dla wiadomości interesowanych ustawę swoją. Towarzystwo ma na celu kształcenie dziewcząt niezamożnych w zawodach: naukowych, artystycznych i przemysłowych, pragnąc szczególnie uzdalniać: nauczycielki, bony, ochroniarki, aptekarki, fotografistki, buchhalterki, i sklepowe, kopistki, zecerki, fryzjerki, krawczynie i modniarki, rękawiczniczki, szewczki, szmuklerki, introligatorki, wreszcie gospodynie wiejskie, kucharki i pracunki. Fundusze towarzystwa powstają ze składek dobrowolnych, oraz z wpływów jednorazowych, staraniem towarzystwa pozyskiwanych. Na zebraniu walnem, zbierającym się corocznie w trzech pierwszych miesiącach roku, towarzystwo wybiera z łona swego dyrekcję, która stanowi władzę czynną towarzystwa, a składa się z osób 11: z dziesięciu kobiet i jednego mężczyzny. Walne zgromadzenie po wysłuchaniu sprawozdania dyrekcji pod względem czynności, dokonanych w ciągu roku, i obrotu powierzonych sobie pieniędzy, wyznacza komisyję do sprawdzenia rachunków, przytem rozpoznaje i rozstrzyga większością głosów wnioski stawiane przez stowarzyszonych, w razie potrzeby zmienia ustawę towarzystwa, i wydać może uchwałę rozwiązującą stowarzyszenie.

Co rok jedna trzecia część członków dyrekcji wychodzi; następuje wybór nowych; po trzech latach każdy członek dyrekcji ustąpić powinien, może przecież być obranym nanowo. Przewodnicząca, kassyerka i sekretarka stowarzyszenia obierane są corok przez dyrekcję, zaraz po walnem zebraniu. Do prawomocności uchwał dyrekcji potrzeba jest najmniej pięciu członków; zapadłe uchwały zapisywane są do protokołu posiedzeń, które odbywać się powinny obowiązkowo co dwa tygodnie, w razie zaś szczególnej potrzeby mogą być i częstsze. Uchwały rozstrzygają się większością głosów. Dyrekcja stara się o tworzenie komitetów, któreby popierały działalność towarzystwa i starały się o rozszerzenie jej, przez zwiększoną ilość członków. Dyrekcja ma rodzicielską niejako opiekę nad uczennicami. Panie, składające dyrekcję, dzielą się podług zawodów ta opieką, umieszczają uczennice na naukę, czuwają nad postępami i moralną stroną obyczajów wychowanki, składając o tem co kwartał sprawozdanie dyrekcji. Każdy oddział wychowanek liczy po trzy opiekunki, a to dlatego, aby w razie wyjazdu lub słabości jednej, dwie pozostałe opiekę tę pełniły. Tylko zupełnie ubogie wychowanki przyjmowane być mogą; że liczba zgłaszających się jest zawsze większą niż niebogatych towarzystwo przyjąć może, kandydatki kolejno są zapisywane i wedle tej kolei przyjmowane zostają na wychowanki towarzystwa. Każda wychowanka powinna posiadać pewne kwalifikacje naukowe, a to odpowiednio do natury swego zawodu: na zecerkę, kopistkę, sklepową, gospodynię wiejską i wszelkie inne zajęcia rękodzielniczo-przemysłowe, powinny ukończyć szkołę elementarną; przyczem modniarka i krawczyni powinna już umieć szyc. W innych zawodach trzeba ukończyć 6-tą klasę w szkole średniej, lub 2-gą na pensyi wyższej. Zdaniem naszym, towarzystwo powinno pod tym względem zrobić w ustawie zmianę i dopuścić także do składania egzaminu z edukacji domowej. Właśnie dziewczę ubogie niezawsze może uczyć się w szkole średniej czy wyższej, a często przy zdolnościach wyższych i jakiej takiej pomocy, może uzdolnić się samą nauką. W zawodach artystycznych towarzystwo kładzie bardzo słusznie za warunek przyjęcie talent już wyższy, uznany przez trzy odpowiednio do tego osoby. Wiek wychowanek oznaczo-

ny jest względnie do różnych zawodów, od lat 14 do 26. Gospodynie wiejskie i kucharki kształcone są sposobem bardzo praktycznym, przez oddawanie ich do dworów wiejskich zacnych pań, które im w domu swoim i pod swą opieką uczyć się zawodu swego pozwalają. Praczki oddawane są w Poznaniu do praczek wyuczonej prania już przez towarzystwo. Szmuklerka wyuczyła się dotąd tylko jedna kosztem towarzystwa, rzemiosło to w stosunkach poznańskich okazało się mało korzystnym. Rękawiczniczka wyszła zpod opieki towarzystwa też jedna tylko, a i ta nie skorzystała dostatecznie z nauki. Towarzystwo niemogło znaleźć nietylko na miejscu, ale nigdzie w Niemczech, oraz poza granicami tego państwa, możliwości wyuczenia wychowanki właściwego rękawicznictwa, szycie zaś samo nie daje w tamtych stronach pożądanego zarobku. Szkoda że towarzystwo nie zwróciło się do nas, do zakładu panny Haliny Kurnatowskiej, gdzieby nauka ta nietylko otrzymana być mogła, ale otrzymana-by była nieskończenie lepiej, niż w Niemczech. Rękawicznictwo nasze może mierzyć się z paryżkiem, a równe mu w dobroci znajduje się tylko w Wiedniu, lub w Czechach, gdzie rękawiczki są prawie tak dobre jak u nas. W całych Niemczech rękawiczki są bardzo złe, nietylko jako skóra, ale jako krój, niezgrabny i niewygodny.

Fryzjerki nie mogły znaleźć w Poznaniu dość dobrze udzielanej nauki, i są wysyłane do Berlina. Buchhalterki kształcą się w Brzegu na Szlązku. Aptekarka jedna tylko ukończyła naukę; uczyła się przez lat dwa u aptekarza, okazała się uzdolnioną dostatecznie do swego zawodu, może założyć aptekę, ale nie wolno jej być prowizorem, albowiem prawo obowiązujące żąda od prowizora patentu ukończenia nauk gimnazjalnych.

Dziwić się należy, że towarzystwo nie uczy szycia gorsetów i kwiecistwa, do nas oddając uczennice. Mamy kwiaty zupełnie równe paryżkim, gdy tymczasem niemieckie są bardzo brzydkie; to samo powiedzieć można o gorsetach. Niemieckie są ciężkie i niezgrabne, przypuścić więc należy, iż gorsetciarka w Warszawie wyuczona, mogłaby wyrabiając gorsety, niemal równe paryżkiem, mieć znaczny odbyt na całą prowincję.

Sprostowanie.

W dodatku do *Bluszcza* Nr 48, w artykule p. t.: *Wystawa wyrobów w Muzeum Przemysłowem*, na stronie 190, popełnioną została omyłka, a mianowicie: malowanie na drzewie, przedstawiające *Zniewiarzy* podług Thorwaldsena, wykonane zostało przez p. Friedländer (z domu Bergsohn), a nie jak wydrukowano (z domu Lesser).

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*“ dołącza się arkusz 16-ty powieści pod tytułem: *Kłamecy*.

TREŚĆ. Foliks Antoni Dupanloup (zyciorys). — Świąteczka w ciemnym kraju, (nowella), przez Sygurda Wiśniowskiego. — Przegląd bieżącej literatury francuskiej, I. — Z działy przyrody przez Dra. K. Jurkiewicza — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów), (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.